



czyszczenie
lufy kro-
pidłem **3**

bardzo
„mała
reforma” **6**

zahartowa-
ni w
odnowie **6**



ta gadka
ten szpan **8-9**

jest naj-
pewniejsza
ze wszyst-
kich **11**

przemiana **12**

skrzyżowanie **14**
skrzyżowanie

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

4

(31)

KONTAKTY

1 II 1981

Cena 4 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

STANISŁAW ZIELŃSKI

**trochę
serca
dla
ojców**

Siedzą zamknięci jak w łupinie orzecha: ona, Maria Kurońska, w starym rozciągniętym swetrze, wytartej spódnicy i wyświechtanych buciorach; on, Zbigniew Kuroński (przyprószony siwizną) w nie lepszych spodniach i czystej, choć starej, konopnej koszuli. Oboje mają dłonie i twarze poprzecinane gęstą siecią zmarszczek, niczym to pole bruzdami, biegnące za oknem. Patrzą na sad, który sadzili sami. Przerósł ich kilkakrotnie. Dobre sadzonki im się trafiły. Rodzą co roku, ale z ich owoców staruszkowie niewiele mogą skorzystać.

czas działa przeciwko nam

O kontrolowaniu władzy, trudnej kondycji polityka i kryzysie moralnym naszego społeczeństwa, z etykiem dr. Zbigniewem Szawarskim rozmawia Lech Gizelbach.

LECH GIZELBACH: — Coraz częściej nawet najzagorzalsi technokraci uważają, iż niemożliwe jest zapewnienie praworządności, sprawiedliwości społecznej z pominięciem moralności, uczciwości czy zdrowego rozsądku u ludzi odpowiedzialnych za losy społeczeństwa, a więc u polityków i różnych decydentów. Na ile, pańskim zdaniem, sfera prywatności waleńców osobowych tych ludzi rzeczywiście decyduje o jakości funkcjonowania instytucji publicznych?

ZBIGNIEW SZAWARSKI: — W przypadku każdej osoby pełniącej jakąkolwiek odpowiedzialną funkcję publiczną można wyodrębnić przynajmniej trzy podstawowe wartości, nie przestrzeganie których grozi konfliktem ze społeczeństwem. Jedne z nich wiążą się z określonym zawodem. Będą to więc wartości wyznaczające sferę kompetencji. Inne — to wartości związane z poczuciem obywatelskim. Jako trzecie należy wymienić wartości moralne. Ogólnie, każda osoba piastująca jakąkolwiek urząd powinna być niewątpliwie świetnym fachowcem, dobrym obywatelem, ale przede wszystkim ma to być dobry człowiek. A więc jednostka będąca osobą publiczną winna wyróżniać się szczególnie waleńcami moralnymi. I nie tylko dlatego, że jest na widoku, ale głównie dlatego, iż pełni funkcję wzorotwórczą. Jest człowiekiem, od którego inni przejmują wzory zachowania, naśladują go. Dotyczy to głównie polityków i osób z aparatu administracji. Bo czyż można sobie wyobrazić np. znakomitego fachowca będącego jednocześnie cynikiem, łobuzem, złodziejem?

L.G.: — Chyba dzieje się też nie najlepiej, kiedy na ważne stanowiska idą ludzie wprowadzając szlachetność, ale są to niekompetentni?

Z.Sz.: — Rzeczywiście. Same intencje nie wystarczają. Polityków ocenia się nie ze względu na intencje, lecz ze względu na konsekwencje ich działania. A przynajmniej tak być powinno.

L.G.: — Kto może i kto powinien wyrażać świadectwo czy ocenę waleńców moralnych kandydata na takie stanowisko? Do tej pory jedynym w zasadzie kryterium brany pod uwagę przy wszelkiego rodzaju nominacjach była „przebyta droga”, działalność w tzw. ruchu robotniczym, młodzieżowym czy

CIĄG DALSZY NA STR. 7

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5



W ŁOMŻY OBRADOWAŁ II Wojewódzki Zjazd Delegatów SD. Poniżej zamieszczamy fragmenty wystąpień niektórych dyskutantów. Henryk Wiśniewski (przewodniczący WK SD): „Organizacja wojewódzka, której liczba członków wzrosła do blisko tysiąca, umocniła się oraz zwiększyła swój wpływ na rozwój sfery usług. Dalszego doskonalenia wymaga współpraca międzypartyjna, przede wszystkim na szczeblach podstawowych. Przeprowadzone już rozmowy na ten temat między instancjami wojewódzkimi powinny doprowadzić do poprawy sytuacji”. Czesław Brodzicki (szpital w Kolnie): „W całym województwie mamy tylko osiemnaście miejsc w jednym domu pomocy społecznej. Stawia to Łomżyńskie na jednym z ostatnich miejsc w kraju. Problem ten nabiera wkrótce jeszcze większej ostrości wobec dużej liczby starych ludzi na wsi”. Jan Kulka (literat z Łomży): „Należy przywrócić używanym przez nas słowom ich rzeczywisty sens. Nadal brak jest rzetelnej informacji dla społeczeństwa. Czytając oficjalne wiadomości na temat obecnych wydarzeń musimy doszukiwać się prawdy w podtekstach”. Henryk Jakubowski (nauczyciel z Zambrowa): „Zła polityka kadrowa w szkolnictwie doprowadza do odpływu nauczycieli z zawodu przy równoczesnym zwiększaniu liczby wizytatorów”. Zenon Siergiejewicz (rzemieślnik z Łomży): „Przydział środków produkcji powinien być uzależniony od możliwości produkcyjnych zakładu i zapotrzebowania społecznego na dany artykuł bez względu na przynależność do sektora gospodarki — uspołecznionego czy prywatnego”. Kazimierz Uszyński (Muzeum Rolnictwa w Ciechanowie): „Czy rada narodowa może być rzeczywistym organem władzy jeżeli na przykład posiedzenia jej prezydium odbywają się raz na kwartał, przed

sesjami. Z drugiej strony w małych miasteczkach mamy na ogół do czynienia z dyktaturą naczelnika”. Ryszard Olszewski (dyr. WZPHU): „Poprawa funkcjonowania handlu i usług zależy w dużej mierze od równouprawnienia placówek prywatnych z państwowymi. Jest to potrzebne tym bardziej, że te pierwsze z punktu widzenia ekonomicznego są najtańsze”. Wiesław Wawrzyniak (rzemieślnik z Łomży): „Pilną potrzebą jest utworzenie w Łomży Izby Rzemieślniczej. Powinno się także, w związku ze wzrostem kosztów produkcji, urealnić cenniki na usługi rzemieślnicze”. Jan Magda (lekarz z Grajewa): „W rejonie naszego miasta występuje najwięcej przypadków chorób zakaźnych. Tymczasem szpital zakaźny znajduje się w opłakanym stanie. Planowany remont budynku kosztowałby więcej niż budowa nowego pawilonu”. Mieczysław Słabiński (nauczyciel z Goniądza): „Członkowie SD wbrew poprzednim oficjalnym stwierdzeniom nie byli partnerami w działalności polityczno-społecznej. Obecnie stworzono szeroką płaszczyznę takiej współpracy, również w dziedzinie współdziałania partyjnego”. Helena Wołowicz (kierownik sklepu w Wysockim Mazowieckim): „Nadal nagrody i premie dla pracowników handlu dzielone są bez ich udziału przez dyrektora i kadrową”. Elżbieta Markowska (księgowa z Łomży): „Projekt statutu ZSMP dyskryminuje SD, gdyż przewiduje udzielanie rekomendacji swoim członkom wyłącznie do PZPR”. Marian Jabłoński (emeryt z Grajewa): „Na przykładzie Grajewa wyraźnie widać, że o ochronie środowiska się mówi, lecz bardzo mało w tej dziedzinie robi. Wybudowano u nas zakład mleczarski bez oczyszczalni ścieków. Pracować będzie on na półobrotach grożąc zatruciem wody”. Mieczysław Gierłowski (pełnomocnik Izby Rzemieślniczej w Łomży): „Władze bagatelizują powszechne odczucie potrzeby wyciągnięcia konsekwencji

PRZYPOMINAMY

Jeszcze do końca lutego br. jest szansa wzięcia udziału w naszym konkursie

„PAMIĘTNIK NASTOLATKA”

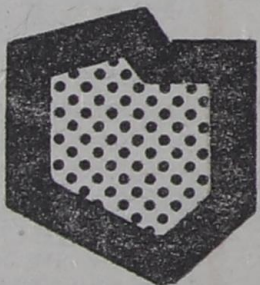
Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom wielu Czytelników — przedłużyliśmy termin nadsyłania prac licząc, iż w pamiętnikach młodzi jeszcze wyraźniej określą swoje miejsce w procesie odnowy życia społecznego kraju.

w stosunku do ludzi, którzy doprowadzili kraj do obecnej sytuacji gospodarczej. Przy każdej sposobności naród nasz udawał w całej swej historii, że nie może żyć bez prawdy. Niższe instancje partii i stronnictwa blokują transmisję odczuć i opinii społeczeństwa”. Tadeusz W. Młynarczyk (przewodniczący CK SD): „Nie możemy powiedzieć by sytuacja w kraju konsekwentnie zmierzała w kierunku stabilizacji. Koniecznością stają się wspieranie sił patriotyzmu i odnowy oraz dalsze reformy — uporządkowanie gospodarki, zwiększenie wydajności i dyscypliny pracy. Bez tego trudności będą narastać. Rozwinięcie zasad działania polskiego ruchu politycznego w deklaracji trzech partii — PZPR, ZSL i SD — stwarza nowe perspektywy urzeczywistnienia demokracji”. W dyskusji głos zabrali także Antoni Czajkowski, Cecylia Sobolewska, Ireneusz Zachwatowicz, Stanisław Wasilewski, Władysław Kośliński, Alina Pierzechańska i Ryszard Rutkowski. Zjazd dokonał wyboru nowych władz SD: przewodniczącym WK został Marian Mieszkowski zaś wiceprzewodniczącymi Mieczysław Gierłowski, Józef Krasuski i Ryszard

Rutkowski. Do Prezydium WK SD wybrano między innymi Jana Kulkę — współpracownika naszego pisma. Gratulujemy.

22 STYCZNIA w Łomży na spotkaniu młodych rolników — członków ZSL powołano komitet organizacyjny Związku Młodzieży Wiejskiej pod przewodnictwem Jana Downara. Na terenie województwa powstały także już pierwsze kółka ZMW.

W WOJEWÓDZTWIE ŁOMŻYŃSKIM — według otrzymanych informacji — na 50,5 tys. zatrudnionych pracowało w sobotę 24.01 na I zmianie ponad 42 tys. osób (83,2 proc.), ale w przemyśle — z ponad 13 tys. tylko 6 tys. osób (czyli 45 proc.). W komplecie stawiała się załoga Zakładów Płyt Wiórowych w Grajewie, która zrzeszona jest w związku branżowym i traktowała ten dzień jako normalny dzień pracy. Członkowie „Solidarności” również stawili się do pracy i płacę za ten dzień przeznaczyli na rozwój swego związku. Natomiast w znikomym stopniu produkowały łomżyńskie Zakłady Bawełniane „Narew”, w 1/3 — Zambrowskie Zakłady Bawełniane. Podobna sytuacja przedstawiała się w pozostałych zakładach pracy.



DO SYTUACJI PATOWEJ w sprawie sobót 10 i 24 stycznia doszło pomiędzy rządem a „Solidarnością”. Rząd podjął decyzję, by były one dniami pracy czemu sprzeciwił się

Krakowskiego PZPR zamieszcza głos Andrzeja Kurza, który powiedział m. in.: „Partia straciła wiele w konflikcie, jaki wyniknął ze zbyt późnego podjęcia przez rząd sprawy wolnych sobót. To był niezrozumiały przetarg polityczny, a nie rozsądek dyktowany patriotyzmem. Jeśli kierownictwo rządu w ten sposób będzie pracować — to jest to metoda nie do przyjęcia przez partię”.

BIURO POLITYCZNE KC PZPR i Prezydium NK ZSL przyjęły wspólnie wytyczne w sprawie węzłowych problemów polityki rolnej, które stanowią efekt ogólnokrajowej dyskusji nad wersją wytycznych pracow-

ych. Rząd rolniczy i spółdzielczy za pełnoprawnego partnera w rozstrzyganiu wszystkich spraw dotyczących wsi i rolnictwa. [...] Biuro Polityczne KC PZPR i Prezydium NK ZSL uznają zreformowane i odnowione na demokratycznych zasadach kółka rolnicze i związki branżowe za najlepszą reprezentację interesów zawodowych rolników”.

RADA MINISTRÓW podjęła decyzję o utworzeniu funduszu regionalnego przeznaczonego na finansowanie działalności władz terenowych zmierzającej do rozwoju przemysłu drobnego, którego produkcja oparta będzie na surowcach miejscowych.

PRASA OPUBLIKOWAŁA bardzo obszerny wykaz spotkań i pertraktacji pomiędzy przedstawicielami administracji państwowej, gospodarczej i ruchu związkowego prowadzonych od września 1980 roku do 23 stycznia 1981 roku jako dowód konsekwencji realizacji zwartych umów społecznych.

GDANSCY PISARZE zwrócili się z apelem do władz państwowych o niepodjęcie decyzji w sprawach żywotnie obchodzących całe społeczeństwo bez uprzedniego konsultowania się z jego przedstawicielami, w tym ze związkami „Solidarności”, które powinny mieć możliwość podawania swoich poglądów do wiadomości publicznej oraz do organizacji zawodowych i społecznych, a w szczególności do związków „Solidarności” o czasowe zawieszenie akcji strajkowej.

MIMO INFORMACJI, że dnia 19.01.1981 r. Karlin opuściły cysterny z prawie 3 tysiącami ton ropy okazało się, że do zbiorników rafinerii w Trzebinie po czterech dniach dotarło tylko 2 tysiące ton ropy.

WYDZIAŁOWA ORGANIZACJA

partyjna Stocznia Gdańskiej wystąpiła z propozycją rozpisania pożyczki narodowej dla przyspieszenia pełnej eksploatacji złóż ropy naftowej koło Karlina.

NA PLENARNYM POSIEDZENIU Rady CZSS „Społem” wyrażono opinię, że istnieje pilna potrzeba przekształcenia oddziałów „Społem” w spółdzielnie o wysokim stopniu samorządności i samodzielności ekonomicznej. Plenum zwolniło na własną prośbę ze stanowiska prezesa CZSS „Społem” Jadwigę Łokkaj powołując na jej miejsce Franciszka Łosia.

DO 40 ZŁOTYCH, za 100 kilogramów podniesiona została cena na ziemniaki przemysłowe. Dostawcy, którzy otrzymali już zapłatę po cenach niższych, otrzymają wyrównanie.

ANNA STRONSKA poruszając w „Polityce” problemy ochrony zdrowia stwierdza: „Wszystkie decyzje dotyczące służby zdrowia w Polsce były typu politycznego, a nie ekonomicznego. Postanowiono — słusznie! — że ubezpieczymy wieś — i oto z dnia na dzień przybywa 9 milionów ubezpieczonych, natomiast nie przybywa ani jednego łóżka, ani jednego lekarza, ani jednej rolki bandaża albo lekooplastu. I znowu dowiadujemy się, że państwo dokonało wielkiego a bezinteresownego gestu w stosunku do mieszkańców wsi”.

WE „WSTĘPIE DO TEORII BE-TONU” („Życie i Nowoczesność”) Aleksander J. Wiczorkowski pisze: „Od wielu lat, nie bacząc na konsekwencje, wypowiadał publicznie szokujący pogląd, że dla dobra i społeczeństwa, i dla władzy, propagandę powinni robić ludzie inteligentni. Jest to pogląd odbiegający od codziennej praktyki ostatnich 35 lat, że narażałem się nawet na zarzut jakobym popierał imperialistów, szczególnie amerykańskich”.

NSZZ „Solidarność”, uzasadniając to brakiem ostatecznych, wcześniejszych konsultacji w tej sprawie oraz niewywiązywaniem się rządu z porozumienia gdańskiego. Konsekwencją tego była decyzja władz o potępieniu pracowników, którzy nie podjęli w tych dniach pracy, wynagrodzenia oraz decyzja „Solidarności” o przeprowadzeniu strajków ostrzegawczych w dniu 22 i 23 stycznia i zapowiedź ogólnopolskiej akcji strajkowej w dniu 3 lutego. Mimo uszytywnienia swoich stanowisk obie strony wyrażają gotowość prowadzenia dalszych rozmów w kontrowersyjnych sprawach.

„GAZETA KRAKOWSKA” relacjonując obrady plenum Komitetu

wanych w październiku. Czytamy w nich m.in.: „Polskie rolnictwo jest jedno. Jego podstawę stanowią gospodarstwa indywidualne mające w Polsce trwałe perspektywy rozwoju. Chłopskie rolnictwo zintegrowane licznymi więzami z gospodarką planową — to trwały element naszej gospodarki narodowej. [...] W ciągu 3—4 lat zostanie rozwiązany problem deficytu części zamiennych do ciągników i maszyn rolniczych oraz ogumienia. [...] Dostawy cementu dla rolników zostaną zwiększone z 4,5 mln ton w 1980 r. do 6,5 mln ton w 1981 r. [...] Poczynając od bieżącego roku odczuwalnie poprawi się zaopatrzenie wsi w węgiel. [...] Ogniwa administracyjne i gospodarcze wszystkich szczebli muszą uznać samo-

polski dylemat

3
KONTAKTY
1 II 1981

Polski dylemat — nadzieje i zwątpienia. Tak brzmi tytuł ankiety, jaką Redakcja zechciała nadesłać również na mój adres, pasując mnie tym samym do stanu „wybitnych postaci naszego życia politycznego, kulturalnego i gospodarczego”, za co wypada złożyć wielkie dzięki. Już przed paru laty opublikowałem w POLITYCE rysunek, na którym jeden starszy pan powiada do drugiego: „Coraz mniej działam, coraz częściej zaszczycam!”. Stwierdzenie to jest zarazem odpowiedzią zasadniczą w ankiecie, gdyż właśnie wiek respondentów kładzie akcent na drugiej części tytułu, na zwątpieniach, motywowanych niestety, porównaniami z rozległą autopsyjnię przeszłością. Pomnę bowiem, jakby to było przed chwilą, reakcję mego duchownego preceptora, Bronisława Wojciecha Linkego, gdy przeczytał (demaskujący stalinizm) referat Chruszczowa na XX zjeździe KPZR i rzekł ironicznie: „A więc przeczyśmy lufy i niech Aurora strzela jeszcze raz!”.

Dziś u nas lufy te lśnią od kolejnego szorowania i znów słyszymy, że tym razem to ho-ho! Ze teraz, to dopiero! Ze wreszcie odrzuciliśmy i przekreśliśmy ostatecznie, że wkraczamy i w ogóle! Patrzę na młodych o roziskrzonych oczach, a tuż obok na młodych, wzruszających pogardliwie ramionami, duchowo starszych niż starcy, patrzę i wzdycham, czując potężne racje obu tych grup. Ci pierwsi, jak sławny żerański Goździk w 1956 roku, rwą się do świetlanej naprawy Rzeczypospolitej, ci drudzy przeczytali w „POLITYCE” reportaż Hanny Krall o dalszych losach Goździka, który dawno łowi podtrute ryby, uszedłszy w gesty cień.

Kiedy w studenckim Marcu przez otwarte okna mego mieszkania dobiegały z pobliskiej Politechniki krzyki palowanej i siłą do autokarów wgniatanej młodzieży, na ekranie telewizora zażywny wtedy jeszcze docent prawa komunikował, że właśnie wszystko jest na najlepszej drodze, bo życzliwe władze podstawili specjalne wozy, by młódz mogła komfortowo dojechać do miasteczka akademickiego na peryferiach miasta... Wrzask bitych oraz słodkie słówka łączyły się w jedną symfonię rzeczywistości. Toteż, gdy po podpisaniu zgody narodowej na 1 września 1980 tenże sam jowialny prawnik, już profesor, z identycznym uśmiechem życzliwości wyjaśniał kolejne „kochajmy się” z tegoż telewizora, dreszcz przebiegał mi po karku.

Różnica wszakże wystąpiła tym razem gdzie indziej. Oto do gromkiego głosu doszedł obecnie Kościół. Co większy strajk, to od razu zjawiał się tam ksiądz z nabożeństwem, zawisał krzyż na głównej ścianie, intonowano „Boże, coś Polskę”, a gazety cytowały wraz z telewizją słowa papieskie, wystąpienia kardynalskie, aż po radiowe msze, wyraźnie poprzedzone różańcem na szyi Lecha Wałęsy i maczugowatym piórem do podpisywania układów, w którym to piórze tkwił portret Ojca Świętego.

O kwestię przywódczej roli partii, postawioną na ostrzu sądowego noża, walczone zajadłe per fas et nefas, natomiast przywódcza rola kleru nie została — gwoździem uzyskania oliwy na falach socjalnych — niczym, nigdzie i przez nikogo zakwestionowana. Apogeum, to odsłonięcia pomników, kwitujących tragedię 1970 roku, poświęcenia ich. Tłumy przetykane komżami, zasiedanie ramię w ramię dostojników Państwa, Partii i Kościoła w pierwszych rzędach. Ponadto wprowadzenie w obieg triady utraconej niegdyś (w czasach konkordatu) przez władze sanacyjne, czyli hasła „Bóg—Honor—i Ojczyzna”, a obecnie złotymi literami wmurowanej przy jednym z monumentów proletariackie-

Niezwykle skomplikowany jest krajobraz życia politycznego, społecznego i gospodarczego Polski roku 1981. Jednak w konsekwentnie realizowanym, choć nie pozbawionym dramatycznych napięć, ruchu odnowy każdy z nas musi określić swoje miejsce w biegu dalszych wydarzeń, wybrać interesy całego narodu. Że towarzyszą temu przepłatające się nadzieje i zwątpienia? Cóż, zawsze tak jest na zakrętach historii. Dlatego też uczucia rozterki nieobce są nam wszystkim: także ludziom stojącym „na świeczniku” nauki, kultury czy polityki. Dzisiaj kolejna wypowiedź w naszej ankiecie.

Szymon Kobyliński, grafik i publicysta

czyszczenie lufy kropidłem



—No, nasze postulaty pięknie zatłwione, a jak tam dziś sytuacja z robotniczymi?

go zrywu sprzed dekady. Wszystko celem załagodzenia sytuacji, celem odzyskania spokoju ogólnego, uciśnienia emocji, powrotu do powszedniej pracy przy warsztatach całego kraju. „Chwała na wysokościach, a pokój na ziemi”, jak głosi tekst, który raptem stał się wytyczną pierwszej rangi.

OSSERVATORE ROMANO ma też wychodzić po polsku, a do zwykłego serwisu informacyjnego o działaniu naszych notabli („Przyjęto na audyencji, wymieniono pisma, goszczono na rozmowach” etc.) doszły permanentne notki PAP-a na temat życia dyplomatycznego Watykanu i wszystkich exposé papieża. Białe i białobłękitne flagi wraz z narodowymi powiewają teraz wszędzie po Polsce, z okazji podróży świętych maryjnych obrazów. Onże Lech Wałęsa odwiedzając stolicę jednym niejako tchem rozmawia z kardynałem, premierem i I sekretarzem, na

Wybrzeżu chórem w podniosłej chwili brzmią syreny statków i dzwony świątyni. Symbioza całkowita, pełna, in nomine Patris et Patriae. To właśnie nowość, odmiana stylu, różnica ani w najśmielszej fantazji wszystkich Goździków przeszłości. Lufa Aurory przeczyszczona kropidłem.

Nadzieje? Ano cóż, te nie znikają nigdy. Każdy kolejny zryw, już to krwawy i osnuty dymem pożarów, już to złagodzony doświadczeniem i przezornością, każdy wstrząs dorzuca następne elementy normalności. Właśnie normalności, a nie zdobyczy niespodzianych i wyjątkowych, albowiem każda z uzyskanych przez naród rzeczy jest gdzie indziej dawno banałem i oczywistością tak naturalną, jak chodzenie na nogach. Tytaniczny wysiłek odrzucenia stalinizmu dał to, co jest zjawiskiem zupełnie powszednim: brak lęku przed otoczeniem, spokojny sen bez

koszmaru niespodzianego aresztowania za nic, brak uczucia permanentnej zawistości od widzimisię anonimów. A więc doprowadzono do stanu zupełnie zwykłego w tej mierze, dla jakiegoś Szwajcara czy Szkota najnormalniejszego pod słońcem. Następne zmagania, okupione obustronnymi ofiarami i do dziś tchnące grozą — dały znów pakietek obywatelskich swobód, zupełnie oczywistych dla mnóstwa cywilizacji, jak choćby swobodę podróżowania bez laski władz (choć tu nadal bronią się jeszcze paszportowe twierdze Grenady reglamentujące). Ostatnio zaś straszliwą szarpaniną, wodzeniem się za orzydła nad skraj przepaści, wydzieraniem sobie wzajem przysięg i innymi przepychankami — wydobyto obietnicę przywrócenia fikcyjnym deklaracjom autentyzmu. Dawno spisana Konstytucja czy regulamin sejmowy mają wejść i po części już wchodzi w życie, a zatem znów musiało się przyłożyć kolosalny wysiłek do tego, by dwa plus dwa zaczęło przypominać cztery, by od lat sformułowane hasła przestały być czymś dźwiękiem, aby stało się u nas normalniej. Toteż nadzieje mają swoją pożywkę o tyle, o ile kolejny wstrząs daje pole następnym oczywistościom. A może z czasem bez awantur, bez grózb i kamikadze dojdziemy do tego, że każdy artykuł Konstytucji, kodeksów, uchwał międzynarodowych (od lat przez nas parafowanych oficjalnie), każda normalność życia społecznego stanie się faktem? Z tym właśnie wiąże swoje nadzieje, akurat tak, jak z najświetniejszą napisanym w Polsce prawem o ochronie środowiska łączę nieśmiałe marzenie, iż kiedyś przestaniemy dewastować skąpe reszeczki rodzimej przyrody. Wiem jednak, że to raczej utopijne mrzonki, ale cóż — pomarzyć nie wolno?

Któryś z profesorów ekonomii wyznał w prasie, że gdy Węgrzy przed laty brali do realizacji polski model konstrukcyjny gospodarki, nawet go już nie rozpatrywali od nowa. „Wystarczająco przedyskutowano to w Polsce” orzekli i dziś mają wyborne skutki zabiegu. Tak wyborne, że pragniemy się na nich wzorować, kiedy zaczniemy przytomnieć po nokaucie, spowodowanej przez tych, którzy ów projekt nad Wisłą zignorowali swego czasu. A zatem mieliśmy i mamy w kraju głowy, umiające wymyśleć struktury tak świetne, jak ów eksportowany do Budapesztu schemat poprawy. Podobnie w tysiącu innych dziedzin. Identycznie zresztą ignorowanych, gdyż profesorskie mózgi zastępowało się — i wciąż zastępuje w zbyt wielu komórkach — osobnikami z całkiem innego, niż naukowy klucza. Innego niż naukowy, niż humanistyczny, niż twórczy. Starym nawykami wracają, jak ów prawnik od wyjaśnień politycznych w TV, znane już twarze dysponentów i decydentów, „wraca Nowe”, jak głosi omszały dowcip, odsmażany po każdym wstrząsie. Tak więc zostaje mi głównie owo nieśmiałe marzenie, ciche sny o ekonomii takiej jak dziś na Węgrzech, o efektach przypominających szereg osiągnięć NRD czy o takim braku kolejek sklepowych, jak w Czechosłowacji. A kwestie kultury? Ha, poproszę o kilkadziesiąt stronik Waszego pisma, bym mógł ten temat poruszyć w głównych zarysach. Nie macie po temu papieru? No właśnie.

Kończę więc, życząc słowami mojej starej, mądrej ciotki: wszystkiego lepszego!

Szymon Kobyliński

nadzieje i zwątpienia

punkt widzenia



DOKONCZENIE ZE STR. 1

związkowym? Liczyli się lata, zorganizowane szkolenia, udział w konferencjach, umiejętność głośnego klaskania i przytakiwania.

Z.Sz.: — Zgoda, zastanówmy się kto do tej pory typował, dobierał. Ale zastanówmy się także jak być powinno. Do niedawna w naszym społeczeństwie dominował paternalistyczny model władzy, polegający na tym, że bardzo wąska ekipa centralna, pełniąc kierownicze funkcje, dobierała ludzi odpowiedzialnych jej pod określonymi względami. Ci zaś dobierali dalszych pomocników i tak aż do szczebla najniższego. Przyjęcie zasady doboru ludzi od góry oznacza automatycznie preferowanie takich cech człowieka jak: posłuszeństwo (a od posłuszeństwa bardzo blisko już do służalczości), układowość, konformizm, gotowość wykonywania wszelkich poleceń przełożonego (nawet najbardziej absurdalnych)... W ten sposób wylania się nam postać człowieka dobrze ustawionego, dyspozycyjnego, postać radarowa — jak to mawiają Amerykanie — człowieka bez kantów; dającego się świetnie manipulować, który z góry zakłada, że nie będzie szefa krytykował, bo to się nie oplaca, świadczącego usługi osobom stojącym od niego wyżej. Wówczas wywiązywanie się z obowiązków służbowych polega na biernym wykonywaniu poleceń szefa. Te paternalistyczne praktyki wiodą prosto do biurokratycznego modelu rządzenia państwem, a cnoty obywatelskie i moralne schodzą na plan dalszy. Nie mają one większego znaczenia. Lepiej jest, z punktu widzenia ośrodków dyspozycyjnych, jeżeli ludzie im podlegli nie krytykują, milczą i zajmują się dostarczaniem informacji tylko mile widzianych w tych ośrodkach. Dla mnie osobiście było np. wielkim szokiem, kiedy niektórzy członkowie Biura Politycznego zakomunikowali, że nie byli poinformowani o stanie zadłużenia naszego kraju.

L.G.: — Jest to oczywiście możliwe tylko wówczas, kiedy władza znajduje się poza kontrolą społeczeństwa.

Z.Sz.: — Więcej, kiedy władza tworzy pewien złożony, skomplikowany aparat biurokratyczny i podlega patologiom jakie rządzi strukturami biurokratyzowanymi.

L.G.: — Na razie krytykujemy, a jak być powinno?

Z.Sz.: — Słowem wywoławczym musi być demokracja. Polega ona między innymi na tym, że ludzie — kierując się określonymi zasadami — wybierają spośród siebie swoich przedstawicieli, chcą przede wszystkim mieć najlepszych reprezentan-

czas działa przeciwko nam

O kontrolowaniu władzy, trudnej kondycji polityka i kryzysie moralnym naszego społeczeństwa z etykiem dr. Zbigniewem Szawarskim — rozmawia Lech Gizebach.

tów w sensie moralnym, zawodowym i obywatelskim. A więc ludzi, którym naprawdę na sercu leży dobro kraju, a interes własny schodzi na plan dalszy. Otrzymując od społeczeństwa mandat muszą przed swoim mandatarium (a nie przed szefem) rozliczyć się z podjętych zobowiązań. Społeczeństwo winno nie tylko ich powoływać, ale i mieć możliwość odwoływania. Do tej pory myślny nie mieli szans na powoływanie autentycznych reprezentantów. Otrzymywaliśmy listy kandydatów i spośród bardzo ograniczonej grupy ludzi należało dokonać wyboru, a raczej oddać na nich swój głos. Jeżeli obecnie ma się coś zmienić, to musimy zadbać o autentyczny wybór naszych delegatów od samego dołu. Odnosi się to zarówno do związków zawodowych, partii jak i wszelkich organów władzy przedstawicielskiej. Jest to niezmiernie ważne przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem partii. Delegaci na Zjazd muszą być wybierani od samego dołu autentycznie, powinni to być delegaci organizacji podstawowych, z pominięciem szczebla wojewódzkiego, który w tym przypadku jest zupełnie zbędny. Tylko w ten sposób zapewnić można autentyczną, bezpośrednią demokrację. Będą to wówczas nasi delegaci, a nie delegaci władzy, którą może nadmiernie interesować utrzymanie status quo.

L.G.: — Leży to — jak należy rozumieć — w interesie samej partii i całego narodu?

Z.Sz.: — Przyszłość naszego kraju zależy rzeczywiście w dużej mierze od uczciwego przygotowania IX Zjazdu.

L.G.: — Nie wystawia się u nas zazwyczaj ocen za morale polityka, będącego jeszcze u władzy, co innego później, gdy już „zachoruje”. Czy pełna

jawność życia politycznego może spełnić funkcję moralnego probierza? Jaka w tym rolę może odegrać opinia publiczna?

Z.Sz.: — Nie jest prawdą, że nie wystawiamy ocen moralnych naszym politykom. Robimy to nieustannie. Tylko, że nie są one werbalizowane za pośrednictwem prasy, radia, TV. Ale tzw. opinia publiczna — w formie plotki, pogłoski, kawiarnianej rozmowy — funkcjonuje. Jest pełno doniesień o tym, co robią osoby ze świecznika czy ich synowie. Ludzie są bardzo czuli i wrażliwi na zachowanie władzy i wszelkie potknięcia jej reprezentantów nabierają później ogromnego znaczenia. Im pewnych rzeczy po prostu robić nie wolno! Czy jednak możemy oceniać ich wcześniej? To przede wszystkim sprawa kultury politycznej i dojrzałości do demokracji. Gdybyśmy mogli wcześniej — bez obawy utraty pracy, bez obawy szykanowania — wyrazić swoje przekonania polityczne, wówczas z całą pewnością uniknęlibyśmy wielu dramatów przeżywanych przez nasze społeczeństwo.

L.G.: — Zaczynamy w tym momencie mówić o miejscu prawdy w społeczeństwie. Bez tej odrobiny prawdy, jawności życia politycznego, czyż można myśleć o demokracji, sprawiedliwości?

Z.Sz.: — Prawda jest pewnego rodzaju oliwą w maszynie społecznej. Jej brak powoduje zgrzyty. Później dochodzi do zatarcia, katastrofy. A tak jest, gdy władza monopolizuje prawdę, wprowadza na nią pełną kontrolę, kiedy utrzymuje się, że prawdą jest to, co władzy służy, a kłamstwem to, co jej nie służy. Wtedy następuje podział społeczeństwa na tych, którzy mają prawo do informacji i tych, którzy są tego pra-

wa pozbawieni; na wtajemniczonych i nie wtajemniczonych. Na rządzących i rządzonych.

L.G.: — A jakie są tego konsekwencje moralne?

Z.Sz.: — Przede wszystkim mamy podział na manipulujących i manipulowanych. A wszelka manipulacja człowiekiem pociąga za sobą naruszenie przysługującej mu godności. Kiedy Kapuściński w swym głośnym reportażu z Wybrzeża wprowadził na łamy prasy pojęcie „robota”, to tym samym najtrafniej ujął pogwałcenie godności człowieka pracy, którego traktuje się wyłącznie jako siłę roboczą, towar nie mający prawa do wiedzy, współrządzenia, współodpowiedzialności.

L.G.: — Kiedy politykowi grozi zerwanie więzi ze społeczeństwem, z którego sam się wywodzi?

Z.Sz.: — Jeżeli sens władzy pojmujemy się jako rodzaj zaszczytnej służby społecznej, to nie ma zagrożenia zerwania tych więzów. Natomiast, gdy polityk zapomina o swoim powołaniu i zaczyna być zainteresowany wyłącznie utrzymaniem władzy, lekceważy dobro ogółu, to automatycznie wypaczona jest istota władzy, jej funkcja — wtedy każdy środek służący utrzymaniu władzy staje się dobry.

L.G.: — Czyśty machiawellizm...

Z.Sz.: — Tak. Nieważne stają się koszty moralne czy ekonomiczne utrzymania władzy. Ona sama zostaje celem najważniejszym.

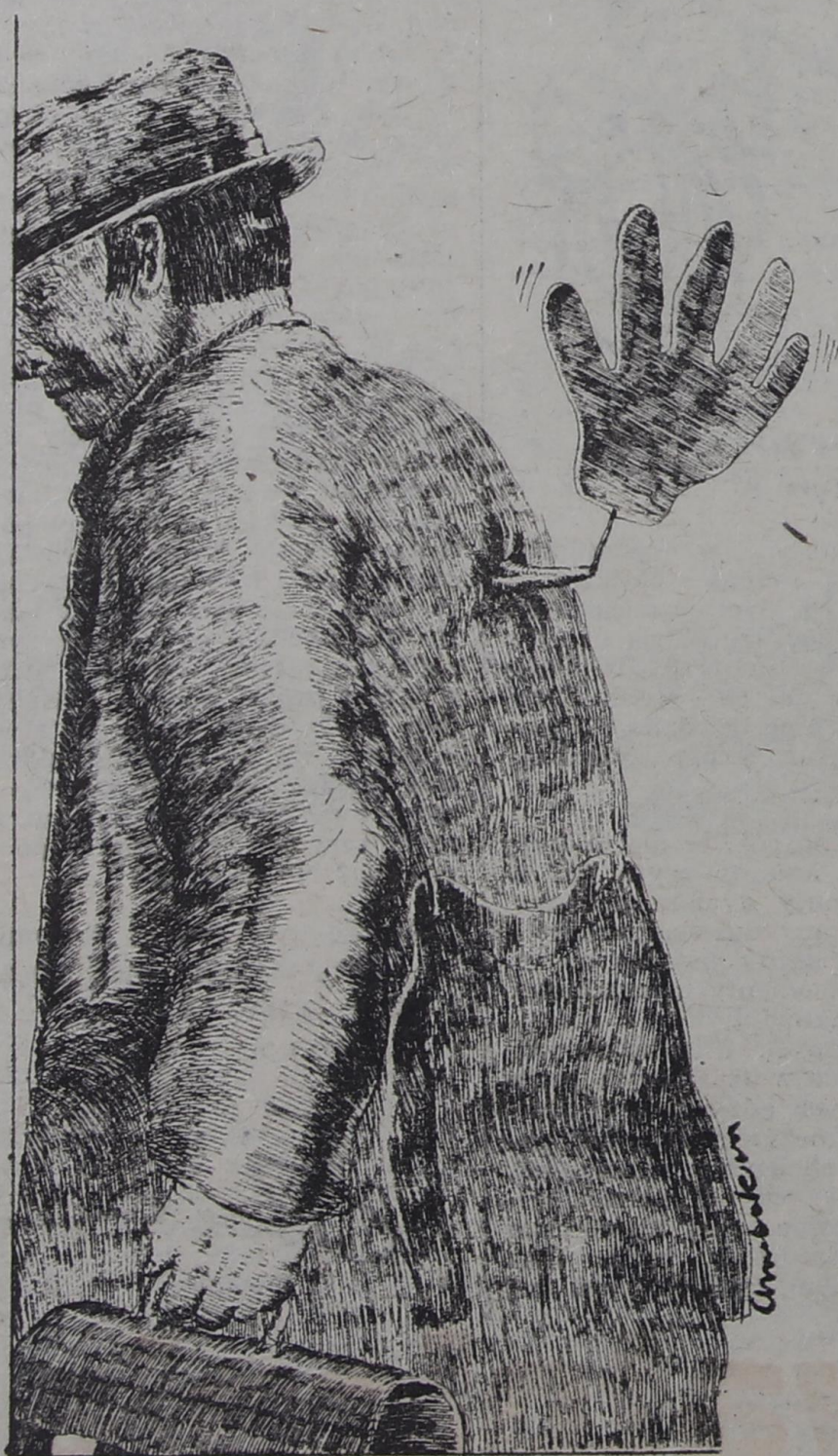
L.G.: — A to oznacza upadek moralności.

Z.Sz.: — Władza stając się celem samym w sobie zatracza nie tylko swe moralne oblicze, ale wypacza sam ustrój i jego pryncypia. Uczulenie ludzi na możliwość takich patologii jest rzeczą ogromnie ważną, bo koszt ponoszony za to przez nas wszystkich jest przeogromny. Dzięki temu na marne idą wysiłki całych pokoleń ludzi pracy.

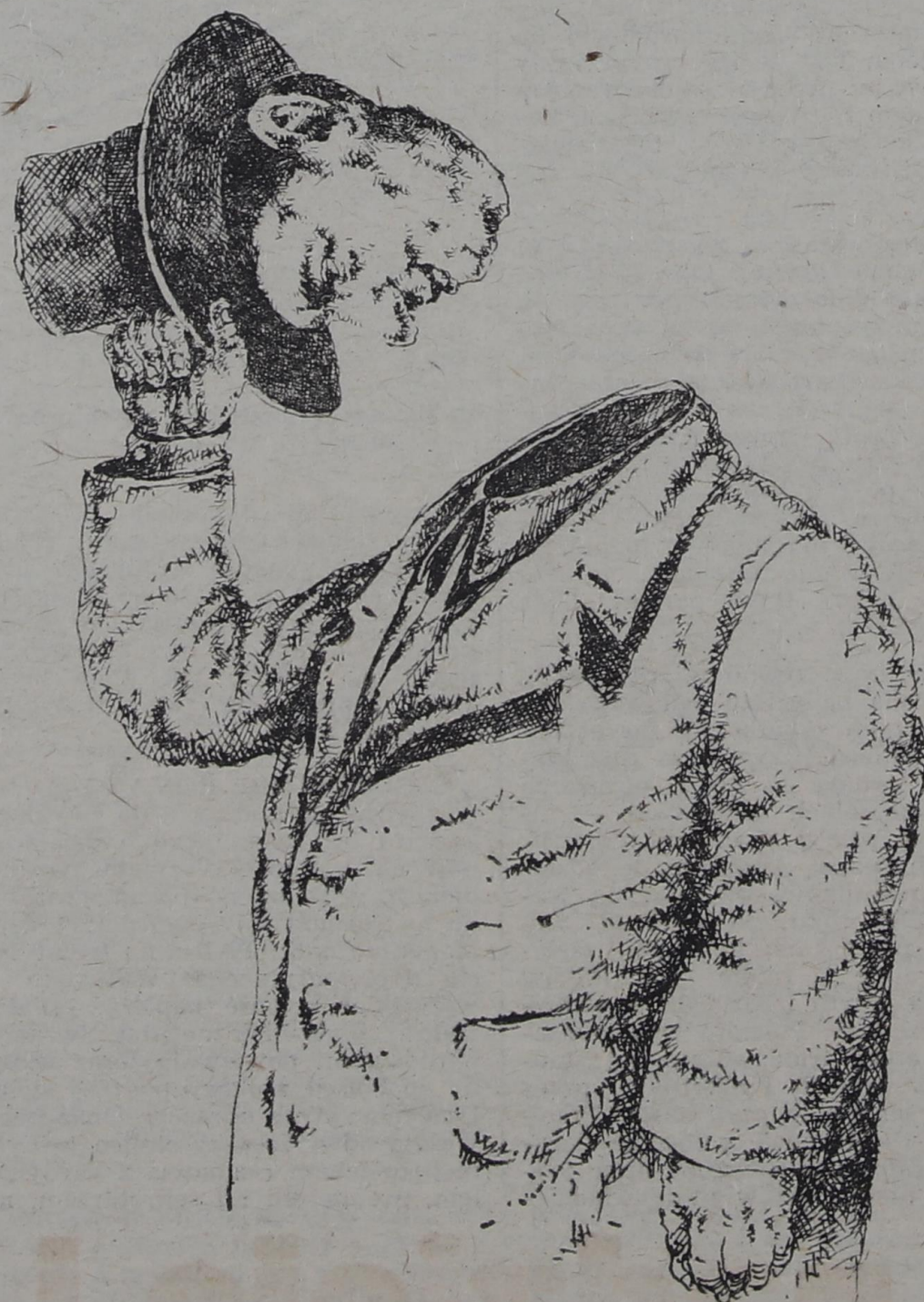
L.G.: — Czy można temu jakoś zapobiec, przeciwdziałać?

Z.Sz.: — To znowu zależy od rozwoju systemu demokracji. Jeśli społeczeństwo uzyska kontrolę nad władzą, a stosunek między nią i społeczeństwem przestanie przypominać układ feudalny i rozpocznie się między nimi równopartnerski dialog, to kataklizm w postaci autonomizacji władzy przestanie zagrażać. Ale to wymaga ogromnej zmiany moralnej naszego społeczeństwa.

L.G.: — Czy moralnej? Z tego co pan powiedział wynika raczej, że to instytucje powinny stanąć na straży ładu moralnego. Każdy z nas ma podobne potencjalne możliwości ulegania własnym ułomnościom. Zaś zachwianiu moralności może sprzyjać brak instytucjonalnych form zabezpieczenia się przed tym — niezależna prasa, demokratyczny system



Rysunek Piotra Chroboka



Rysunek Antoniego Kowalskiego



A. Kowalski 78

wyboru władzy, rzeczywista kontrola i egzekwowanie odpowiedzialności.

Z.Sz.: — Możemy mieć doskonałe instytucje — jeśli jednak nie potrafimy z nich, lub nie chcemy skorzystać, to i tak wszystko się wypaczy. A więc decydują przede wszystkim ludzie, ich walory osobowe. W tym miejscu opowiem się za Mrożkiem, który powiada: żeby nam się pewne rzeczy chciało robić, żebyśmy uwierzyli w sensowność indywidualnego myślenia i działania. Z tych indywidualnych czynów rodzi się ogromna siła społeczna. Taka, a nie inna jest kolej przemian w makroskali. Jestem przeciwnikiem czekania na Godota, na zmienienie się systemu, bo to oznacza ponownie podział na tych, co zmieniają i tych, co czekają, aż inni coś zmienią. W systemie demokratycznym właśnie my powinniśmy, nie czekając na nikogo, zmienić swoje otoczenie.

L.G.: — Musimy mieć jednak do tego możliwości.

Z.Sz.: — A czy nie mamy? Czy nie mamy prawa do myślenia?

L.G.: — Ale czy zawsze możemy to robić głośno?

Z.Sz.: — A kto nam w tym przeszkadza? Sądzę, że możemy. Przyzwyczailiśmy się w przeszłości do tego, że nikt z naszym głosem się nie liczył. Ale jest w tym błąd logiczny. Przecież ma znaczenie jak się w określonej sytuacji zachowamy. Jeśli uwierzymy we własny rozsadek, uczciwość, znaczenie, prawo decydowania o tym, co się w kraju dzieje, jeśli wierzymy w to dostatecznie duża ilość ludzi — uzyskamy w ten sposób ogromną siłę potrafiącą odmiennie rzeczywistość, wpływać na jakość naszego życia. Inny przykład: jeżeli będziemy czekali, że cenzura zmieni się sama, żebyśmy mogli swobodnie pisać, to ona się nie zmieni. Musimy starać się wpłynąć na odpowiedzialne instytucje mogące spowodować zmianę ustawy o cenzurze. Bez tworzenia nacisku, bez głośnego wołania o zmiany — nie się nie zmieni, gdyż wszelkie instytucje nas ograniczające — z własnej, nieprzymuszonej woli — nie zlikwidują się i nie odmienniają. To musi być spowodowane, wręcz wymuszone. I to jest zadanie dla nas wszystkich jako jednostek.

L.G.: — Przemawia przez pana dyktizm i wiara w każdego człowieka. Ale czy fakt, że potrzebny był aż tak wielki kryzys gospodarczy i społeczno-polityczny, aby rozruszały się jednostki i ich głos zjednoczył się w ogromną siłę nie dowodzi, że brakuje naturalnego stimulatora, wewnętrznego przekonania motywującego bunt, że tylko sytuacja wynikająca z konieczności, potrafi nam wstrząsnąć. A przecież nie o ekstremalnych sytuacjach chcemy mówić, ale o codziennej praktyce.

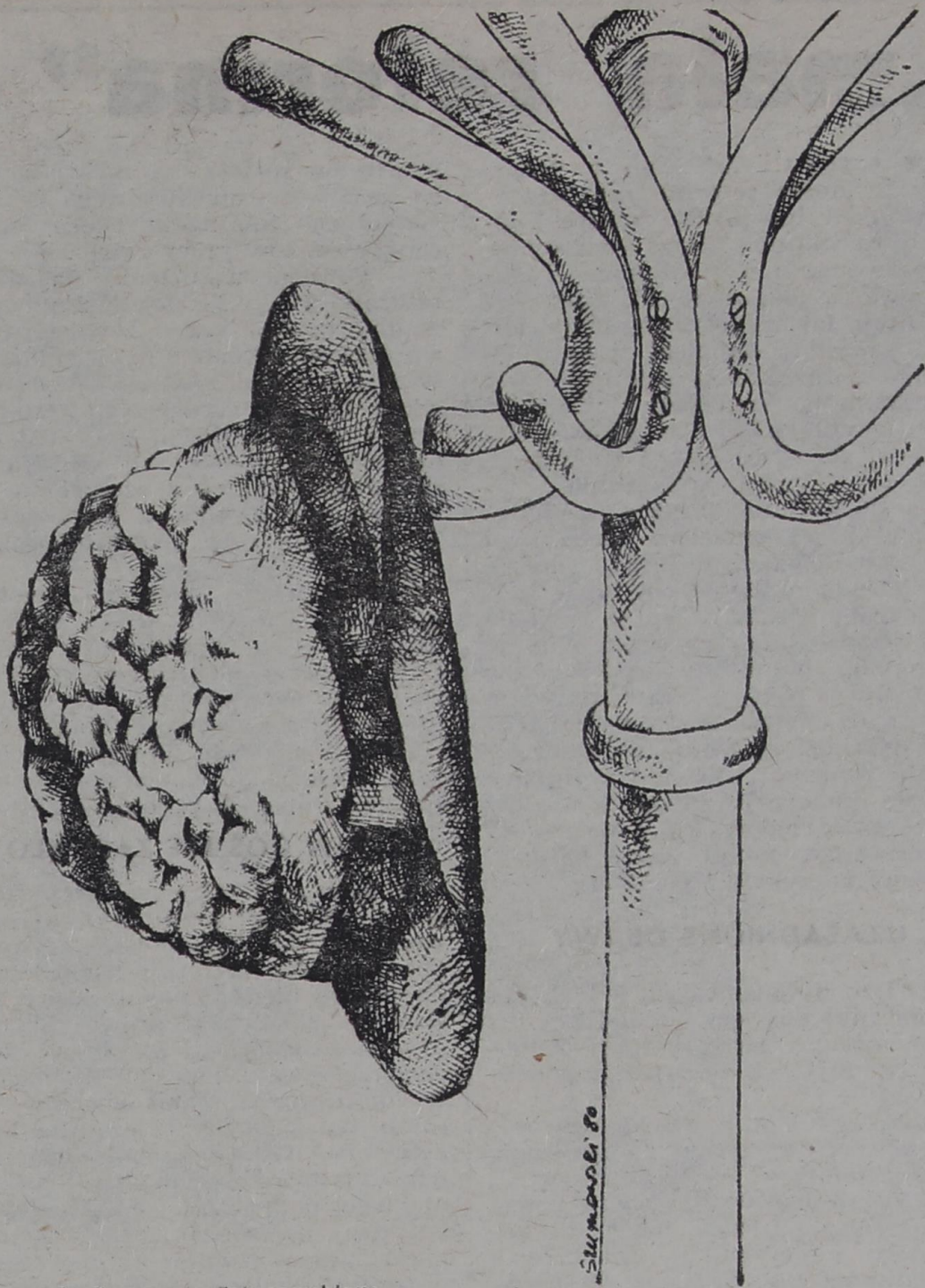
Z.Sz.: — Ciążą na nas dawne przyzwyczajenia, kiedy wszystko płynęło z góry i było niezależne od nas. W przeszłości długo utrzymywał się model: pies szczeka a karawana jedzie dalej. Zostało stworzonych ogromnie dużo mechanizmów tłumiających wszelką krytykę, eliminujących ludzi „wychylających się”, stanowiących zawsze zagrożenie dla posiadających władzę. Nic więc dziwnego, że tacy nie są przez nią kochani i są tłumieni. Ci ludzie będą przegrywać jeśli zostaną sami, działać w pojedynkę.

L.G.: — Gorzej jeśli dotyczy to przywódców autentycznych ruchów.

Z.Sz.: — Nie powinniśmy czekać na Mesjasza mogącego nas wyprowadzić z ogromnego chaosu w jakim jesteśmy pogrążeni. Czas działa przeciwko nam. Im bardziej zwlekamy z ważnymi decyzjami, z konsolidacją społeczną, tym trudniejsza staje się nasza sytuacja. Mimo to ważnym pytaniem jest z kim mają się solidaryzować ludzie: z przywódcą danego ruchu, czy może jeszcze z czymś innym. Nazwiska będące symbolami nie są obecnie tak ważne jak programy, cele i wartości, na których powinno nam zależeć. Do tego nie potrzebne są tak bardzo nazwiska. Programy możemy i bez tego afirmować lub odrzucać. Ale nie chcę przez to pomniejszać roli jednostki, kładę jedynie nacisk na wartości, za którymi one się opowiadają.

L.G.: — Ludzie są bezwzględni. Niech no tylko ten czy inny przywódca nie zbyt gładko coś powie, a może przepaść z kretelem. Nie wszyscy pojmują rolę jednostki podobnie jak pan. Liczą się również te drugo- i trzeciorzędne sprawy, a nie tylko pryncypia i wartości. Życie jest bardziej bezwzględne aniżeli by to z naszych oczekiwań wynikało.

Z.Sz.: — Nie możemy kanonizować wartości i wiązać ich z tą czy inną osobą, bo to grozi przypadkiem



Rysunek Grzegorza Szumowskiego

podobnym do gierkowskiego. Jedy-nym sposobem uniknięcia takiej sytuacji jest umożliwienie przedstawianiu programu wielu ludziom odpowiedzialnym za jego realizację. Ale muszą to być jasno wyrażone programy: czego chcemy, w jaki sposób to osiągnąć, za pomocą jakich środków.

L.G.: — Czy władza z natury rzeczy nie jest czymś amoralnym?

Z.Sz.: — To stary problem. Niektórzy twierdzą, że wszelka władza jest niemoralna, bo musi używać niewłaściwych środków. Polityk musi kłamać, łamać traktaty. Ale jest i stanowisko przeciwnie. Sensownym chyba punktem widzenia jest realizm, liczenie się z kompromisami, z koniecznością pewnych poświęceń czy ofiar. Działalność polityczna wszak nie zawsze polega na dokonywaniu wyboru między dobrem a złem. Często bywa, że polityk ma z obydwu stron zło. I nikt nie wie, które zło jest mniejsze.

L.G.: — A mimo to trzeba wybrać — typowy dylemat. Władza jednak chyba szczególnie sprzyja ujawnianiu się ludzkich ułomności?

Z.Sz.: — Pełnienie jakichkolwiek funkcji kierowniczych wymaga ogromnego hartu ducha, opanowania, gdyż łatwo ulec pokusom wynikającym z faktu dysponowania pewnymi dobrami, możliwościami świadczenia usług itp. Mało jest ludzi, którzy temu nie ulegną, zwłaszcza gdy dookoła dzieje się podobnie.

L.G.: — Stąd ta mnogość wili, w których obecnie myszkuje pracownicy NIK-u i MO.

Z.Sz.: — Oczywiście, wzajemne świadczenie różnych usług doprowadziło do tego, że często ogromnej wartości palace ludzie stawiali za sto kilkadziesiąt tysięcy złotych.

L.G.: — Jest to polski fenomen. Ale przecież tak być nie musi!

Z.Sz.: — Jeśli muszą być naruszone zasady moralne, wtedy żądamy od polityka, aby każdy taki przypadek był w jakiś sposób moralnie usprawiedliwiony. Zawsze winien to być tylko precedens, a nie reguła. Jasne jest, że w życiu politycznym musi dochodzić do konfliktów moralnych. Przecież nie możemy mieć np. zarazem pełnego bezpieczeństwa i pełnej wolności. Tu niezbędny jest kompromis. Oczywiście nie ma mowy o żadnych kompromisach przy stawianiu wili.

L.G.: — Często mamy też do czynienia z pozorną równością czy sprawiedliwością. Weźmy choćby sprawę podwyżek płacowych. Bardzo mało wspólnego ze sprawiedliwością, a nawet moralnością ma „urawniłowka”.

Z.Sz.: — Tak. Wiąże się to z lekceważeniem elementarnego prawa ekonomicznego tzw. zasady malejącej użyteczności krańcowej pieniądza. Wynika z niej, że im wyższe

zarobki, tym mniejszą przedstawia wartość pieniądza. Dla człowieka zarabiającego 20 tysięcy złotych nie przedstawia większej wartości 1000 złotych. Ale dla zarabiającego 2 tys. zł już suma 200 złotych jest duża. To zrozumiałe. Dlatego podwyżki największe powinny być zawsze przyznawane zarabiającym najniżej. Powyżej pewnego pułapu byłbym przeciwny wszelkim podwyżkom płac. Tylko wówczas pojawi się szansa wyrównania tej ogromnej rozpiętości płac jaką przeżyliśmy w szedzie po ostatnich latach.

L.G.: — W jakiej mierze politycy odpowiedzialni za moralny rozkład społeczeństwa?

Z.Sz.: — Na pewno odpowiadają za to, co się stało. Odpowiedzialność w pełni ponosi człowiek, posiadający jakąkolwiek możliwość działania, decydowania. Jeśli nawet działanie jest nierozmysłne (nie przewiduje tego, co się później stało) to i tak nie zwalnia to z odpowiedzialności. Jeśli polityk nie potrafi wykorzystać swoich możliwości, ponosi również odpowiedzialność (nawet karną). Jeżeli ludzie na wyższych stanowiskach — niezależnie czy my o tym wiemy czy nie — zachowują się nieodpowiedzialnie, nie wywiązują się ze swych elementarnych obowiązków i powiększają sumę społecznego zła — demoralizują tym resztę społeczeństwa. Podobnie zaczynają postępować inni. Najostrejszym przejawem kryzysu moralnego w naszym społeczeństwie jest zanik kategorii obowiązku. Powiedzenie „czy się stoi czy się leży dwa patyki się należy” jest ponurym tego dowodem.

L.G.: — Tyle tylko, że wraz z inflacją zmienia się suma wymieniana w przysłowiu. Ale obowiązek to także kategoria moralna.

Z.Sz.: — Rozpatrzmy to na przykładzie umowy społecznej. Podpisanie obietnicy staje się przyjęciem na siebie obowiązku. Zakłada ona dobrą wolę i chęć wywiązania się z tego obowiązku. Nie można zobowiązywać się do czegośkolwiek przy cichym założeniu, że ze zobowiązania się nie wywiąże. Jeśli w tej chwili mamy kłopoty z realizacją gdańskich porozumień, to dlatego, że któraś ze stron traktuje owe obowiązki w sposób symboliczny, nieautentycznie. I to dewaluje pojęcie obowiązku, bo albo się obiecuje i dotrzymuje słowa, albo się nie obiecuje. Warto w tym miejscu przypomnieć, że nie dotrzymanie słowa oddziaływało ogromnie negatywnie — z punktu widzenia moralnego — na społeczeństwo.

L.G.: — Ale to jest problem warty oddzielnej rozmowy. A za tę serdecznie dziękuję.

Rozmawiał: LECH GIZELBACH

spiećcia



Nasze poczucie higieny i estetyki ciągle zdaje się istnieć na pokaz. Sprzątamy na przyjęcie gości lub z okazji świąt, obcinamy dzieciom paznokcie dla higienistki szkolnej, stroimy się tylko do wyjścia. Skoro już to ustaliliśmy, to dlaczego denerwujemy się w brudnym sklepie, sprzątanym pośpiesznie przed przyjściem dyrektora WSS-u (co miało miejsce 17 I br. w Sam-ie spożywczym osiedla Jantar). A klient, proszę pani kierowniczk, to oczu nie ma?

W Targoniach Wielkich (gmina Zawady) od lat jest dobrze: bo ich mieszkańcy nie noszą w sobie nie zaspokojonych potrzeb. Wiemy to od nich samych, ale głównie od soltysa i jego rodziny. Kto by chciał podleczyć swoją znerwicowaną psychę widokiem szczęśliwych ludzi, niech czym prędzej uda się do tego raju na Ziemi!

Zakład Wychowawczy w Goniądzu znalazł wreszcie dekarza. Teraz pilnie poszukuje murarza, bo pracownicy rzemieślnik, w ferworze kładzenia dachu, uszkodził komin. Dyrekcję Zakładu gnębi teraz dylemat: jeśli murarz wkroczy do akcji — czy dach się ostanie?

Gdy 10 stycznia br. naczelnik gminy Trzcianne spytał kierownika Ośrodka Zdrowia, czy w tym dniu jego podwładni pracują, otrzymał zadziwiającą odpowiedź: „Nie pracujemy, lecz interesantów przyjmujemy”. Zabrzmiało to wykrętnie i bałamutnie, bo jeśli na drzwiach ośrodka wywieszono informację o dniu wolnym, to skąd interesanci mogli wiedzieć, że ktoś wewnątrz na nich niecierpliwie czeka?

„Cudze chwalicie, swego nie znacie” — głosi przysłowie, a jak jest mądre, niech dowiedzie fakt, że Łomża nie ufa własnemu przekąznikowi II Programu TVP i korzysta w tym względzie z usług Ostrołęki. Ludzie, przed czym się wzbraniacie? Toż gorszej jakości programy nie możemy nam dostarczać niż Ostrołęka, bo jest to po prostu niemożliwe!

Wielu z nas ma coś z harcerzy, lubimy ogniska, biwaki i te rzeczy. Dlatego pewnie naczelnik Piątnicy nie reaguje na monity mieszkańców, dotyczące likwidacji wiecznego obowiziska pijanych „harcery” w starej szopie. Wraz z dymem wylatują przez szpary ruderki mięsiste wiązanki przekleństw, a zanim sfajczą tę budę — przygotowują do biwakowego życia spory zastęp młodzieży.

Wojewódzki Zarząd Kółek Rolniczych w Łomży od trzech lat składowe pod gołym niebem w Zawadach prefabrykaty budowlane wartości kilku milionów złotych. A nuż lada dzień uda się coś wybudować!

Dzieci z miejscowości Buki Żelazne, Mściwoje i Cwaliny Małe są dowożone do szkoły w Małym Płocku jednym ciągnikiem, który do żadnej z nich nie ma „po drodze”. Aby zdążyć z dziećmi do szkoły na 8.00, musi pierwszą grupę zabierać już o 6.30. Jeśli nam wszystkim jest wyjątkowo ciężko — czy musimy też dzieciom życie utrudniać?

KONTAKTY
1-II 1981

Konieczność reformy systemu funkcjonowania gospodarki narodowej wynika zarówno z jej aktualnej sytuacji jak i z umowy społecznej zawartej w sierpniu ub. roku. Chociaż przygotowanie takiej reformy wymaga czasu, doraźne zmiany systemu planowania i zarządzania przedsiębiorstwami (jako pierwszy etap reformy gospodarczej) zdecydowano się wprowadzić już od 1 stycznia 1981 r. Zmiany te nazywa się potocznie „małą reformą”.

Założenia „małej reformy” określa niepublikowana uchwała nr 118/80 Rady Ministrów z 17 listopada 1980 r. Jej postanowienia mają służyć zapewnieniu „przedsiębiorstwom państwowym zwiększonego zakresu uprawnień oraz stworzenia warunków do rozszerzania ich odpowiedzialności za sprawy gospodarcze...”. W praktyce można to sprowadzić do następujących spraw: zwiększenia samodzielności przedsiębiorstw w planowaniu i realizacji planów, zmiany charakteru planu przedsiębiorstwa z narzuconego odgórnie na opracowany w oparciu o umowy wewnętrzny dokument przedsiębiorstwa, wprowadzenia miernika produkcji netto — jako podstawowego kryterium oceny działalności przedsiębiorstwa oraz powiązania z nim (uzależnienia od niego) funduszu płac przedsiębiorstwa.

Na mocy wspomnianej uchwały RM przedsiębiorstwa same będą ustalać plany swojej działalności w oparciu o przepisy prawa, zawarte umowy i dyrektywne zadania roczne. Oczywiście, warunkiem tego jest poważne zmniejszenie ilości zadań określonych przez jednostki nadzórne. Póki co jednak będą one jeszcze dość liczne. Tak więc w 1981 r. centralnie zostanie ustalona ilościowa produkcja 46 rodzajów towarów na zaopatrzenie gospodarki narodowej (np. węgiel kamienny, gaz ziemny, siarka, srebro, papier, cukier, pasze treściwe itd.) oraz 52 rodzaje towarów na zaopatrzenie rynku (w tym: mięso, ryby, drób, sery, mleko, mąka itd.). Dyrektywne ustalone zostaną także: wartość dostaw eksportowych z podziałem na I i II obszar płatniczy, zadania rzeczowe budownictwa inwestycyjnego, a także wielkość dostaw i usług na rzecz obronności i bezpieczeństwa kraju. Na wszelkie zadania dyrektywne przedsiębiorstwa otrzymają przydziały środków.

NA WŁASNY RACHUNEK

Za podstawowy miernik działalności przedsiębiorstw produkujących surowce i materiały oraz świadczących usługi uznaje się w „małej reformie” produkcję netto; natomiast w przedsiębiorstwach wytwarzających surowce, półprodukty i materiały — ilość produkcji.

Miernik produkcji netto, można w uproszczeniu przedstawić jako różnicę między wartością sprzedaży a kosztami materiałowymi lub jako sumę zysku i funduszu płac. Oznacza to, że produkcja netto będzie tym większa, im większa jest wartość sprzedaży oraz im mniejsze są koszty materiałowe. Od kształtowania się tego miernika (ew. miernika ilości produkcji) będzie zależała wysokość należnego funduszu płac przedsiębiorstwa. Mechanizm zależności działa następująco: bazowy fundusz płac przedsiębiorstwa (za który uważa się fundusz płac 1980 r.) wzrasta (lub maleje) o 0,3% na każdy 1% wzrostu (lub spadku) produkcji netto, dając w ten sposób należny fundusz płac roku 1981. Innymi słowy: fundusz płac w 1981 r. będzie tym wyższy, im większy będzie przyrost produkcji netto w stosunku do roku ubiegłego.

Nadwyżkami funduszu płac przedsiębiorstwo będzie dysponować wg własnego uznania, przeznaczając je na wzrost zatrudnienia, podwyżki płac bądź premii. Niewykorzystany w roku 1981 fundusz płac przejdzie na rok następny.

Jak można ocenić „małą reformę”? Gwoli sprawiedliwości trzeba zaznaczyć od razu, że w aktualnych warunkach — „związanych rąk” i możliwości ograniczonego manewru — jakkolwiek reforma jest zadaniem niezwykle trudnym. Trudniejszym, że nakładają się na nią prace nad kompleksową reformą gospodarczą, której ramy zostaną ustalone dopiero przez IX Zjazd Partii.

Każda reforma, nasuwa pytanie, na ile jest ona rozwiązaniem no-

wym, oryginalnym? Śmiem twierdzić, że „mała reforma” nie zawiera żadnych (lub prawie żadnych) nowych rozwiązań. Wręcz przeciwnie, w porównaniu z założeniami funkcjonowania jednostek inicjujących z początku lat siedemdziesiątych jest ona znacznym krokiem wstecz. Ogólnie biorąc, „mała reforma” jest nawrotem do koncepcji zarządzania przedsiębiorstwami lat siedemdziesiątych, z ich zaletami i wadami.

W tej sytuacji samorzutnie nasuwa się skojarzenie, iż z „małą reformą” i jej odbiciem społecznym jest jak z Żydem, uskarżającym się na ciasnotę w swojej chałupie, któremu rabi poradził, aby wstał do niej jeszcze kilka zwierząt. Gdy je następnie sprzedał — poczuł się szczęśliwy. Ulga, jaką sprawiają dziś nadzieje na rozluźnienie centralistycznego gorsetu, związane z „małą reformą”, nie jest wynikiem lepszej koncepcji zarządzania, lecz odrzucenia błędów, które wypaczyły wcześniejsze, mniej lub bardziej słuszne, koncepcje i postulaty.

UZASADNIONE OBAWY

Na tym tle nasuwa się jednak następne pytanie, czy „małej reformie”, opartej na koncepcji jednostek inicjujących nie spotka podobny los?

Moim zdaniem, największe niebezpieczeństwa, związane z realizacją „małej reformy” są następujące:

— Zagrożenie wykonywania zadań dyrektywnych, które nie będą korzystały z przywileju zapewnienia środków na ich realizację. W sytuacji braków surowcowych, materiałowych, energetycznych itd. priorytety w realizacji zadań dyrektywnych muszą doprowadzić do trudności w realizacji pozostałych zadań, ucieczki przedsiębiorstw od tych zadań, a tym samym do dodatkowych trudności rynkowych. To może z kolei stworzyć potrzebę zaliczenia nowych zadań do grupy zadań dyrektywnych i stopniowo ponowne ograniczanie samodzielności przedsiębiorstw.

— Przyjęcie za bazowy fundusz płac funduszu za 1980 r. może spowodować bardzo szybko wzrost funduszu płac za 1981 r. w tych przedsiębiorstwach, gdzie produkcja w ub. roku była niska. Jeżeli nawet uda się ten problem rozwiązać w szczegółowych przepisach, to nie uniknie się prawdopodobnie konfliktów z załoгами w zakresie potrąceń bazowego funduszu płac. Mechanizm łączenia funduszu płac z produkcją netto zawiera niebezpieczeństwo

konfliktów społecznych, polegających na możliwości niewłaściwego (niedostatecznego lub nadmiernego) opłacenia wyników pracy załogi.

— Poważne zagrożenie dla samej reformy wiąże się także z nieuporządkowaniem tzw. zewnętrznych warunków działania przedsiębiorstw. W 1981 r. przedsiębiorstwa będą bowiem działały w starych strukturach organizacyjnych, przy dotychczasowym systemie cen itd. Nieracjonalny system cen szczególnie utrudnia samodzielne, a jednocześnie zgodne z interesem społecznym działanie przedsiębiorstw.

— Największe niebezpieczeństwo wiąże się jednak z wyżej wspomnianymi brakami surowców, materiałów, energii elektrycznej itd. Gdy te braki będą zbyt odczuwalne, cały system „małej reformy” spali na panewce. Nie będzie bowiem mógł działać mechanizm zależności funduszu płac od produkcji netto.

ZNÓW COŚ NIE ZAGRAŁO

I jeszcze krótkie spojrzenie na „małą reformę” przez pryzmat praworządności. Wydaje się, że przy okazji nowej reformy popełniono dwa stare błędy. Znowu ważny dokument stanowiący prawo, kluczowy dla gospodarki i funkcjonowania społeczeństwa i tym samym bardzo je interesujący, został wydany po cichu, bez należytych konsultacji, a nawet bez rzetelnego poinformowania o tym społeczeństwa. Publikacji tego dokumentu w „Monitorze Polskim” nie mogą zastąpić komunikaty prasowe. Znowu coś nie zagrało na linii władza—społeczeństwo.

Drugim „grzechem” reformy jest fakt, że w chwili wejścia w życie jej postanowień, które są obowiązującym prawem, zostały one już wielokrotnie złamane przez naczelne organy administracji państwowej. Przewodniczący Komisji Planowania, Minister Finansów, a także kilku innych ministrów nie wywiązali się z nałożonego na nich obowiązku wydania szczegółowych przepisów w terminach przewidzianych w uchwale (najczęściej chodzi o dzień 31 grudnia). Jeśli to prawda, że „przykład idzie z góry”, zły to przykład dla przedsiębiorstw, które będą realizować omawianą uchwałę w trakcie roku. Tak więc uchwała Rady Ministrów o „małej reformie” i praktyka, która w jej oparciu się wytwarza, świadczą o trwającej degradacji prawa, co nie jest zgodne ani z postulatami i potrzebami społecznymi, ani z duchem i postanowieniami VII Plenum KC PZPR.

Dr EUGENIUSZ RUŚKOWSKI

zahartowani w odnowie

Pytasz, czy nie przesadzam, kiedy mówię o trzydziestolatkach? Że ich zepchnięcie na dalszy plan to też przyczyna różnych apatii w partii? Wiesz, nie chodzi mi o jakąś biologiczną jedność wieku. Czy o romantyczne szukanie oparcia w duchu kolektywnym pokolenia. Bo w samej partii, na przykład, nieufny jestem wobec tych rówieśników, co zaczęli się rwać do władzy wedle sposobów roku 68. Wielu z nich się nauczyło, bardziej niż czegokolwiek innego, wygodnego sadownienia się tam, gdzie rządzą. Często kosztem rezygnacji z uczciwości politycznej; wszystko dla ewanickiej, takiej barzarowej zręczności spryciarza, który chce mieć w ręku innych. Ci pod koniec siedemdziesiątego i w siedemdziesiątym pierwszym byli już usadowieni. To byli już „etatowcy” — tyle, że było ich niewielu.

Ale za to przypominam sobie takie spotkanie wojewódzkie w siedemdziesiątym trzecim chyba. Sekretarze podstawowych z naszego „resortu”. Co najmniej jedna trzecia to nasi rówieśnicy. Mocno wtedy przypieraliśmy sekretarzy KW, jakichś dygnitarzy z KC i ministra, który od dyskusji z nami się wywinął, po prostu zwał, bo niby nie miał już czasu. A ci młodzi sekretarze byli zadziorni, socjalizm pojmowali bardzo zwyczajnie, a nie na sposób kazuistyczny, czy feudalnie urzędowy. Widziałem wtedy w partii napór młodego pokolenia jako jej siłę, ale już się zaczęło pouczanie, że „koniec, towarzysze tego: moim zdaniem, jest tylko zdanie partii!” Zapytywałem wtedy siebie, co znaczy „zdanie partii”, gdy się zaczyna zatykać gęby jej członkom? Zaniepokoiło mnie też słabnięcie Nowej Fali w literaturze (nie wiedziałem jeszcze, że była to też sprawa urzędniczego sterowania życiem literackim), a niedługo potem ostrym dźwiękiem było podproświenie, w „Ideologii i Polityce” bodaj (byłem wówczas już urzędnikiem partyjnym), że jak ktoś się waha, szuka drogi w miejscach politycznych, to najlepiej dać mu „zadanie” — korzystając też z dyscypliny statutowej — do którego nie jest jeszcze przekonany. Później, tuż po reformie biurokratycznej, zaszokowało mnie szybkie budowanie nowego feudalizmu w partii; gdzieś przepadała samodzielność organizacji podstawowych (w kampanii przed VII Zjazdem instruowali nas niektórzy: „tak, towarzysze, demokracja, ale demokracja sterowana!”), za to coraz bardziej życie partyjne przytłaczała dominacja hierarchów województwa. Najważniejsza stała się raptem kolejność witania i lekkie dygotanie mistrzów ceremoniału, by nie uronić przypadkiem czegoś z tytulatury.

No jasne — kiedy mówię, że partii potrzebna jest wyraźniejsza obecność trzydziestolatków, to nie chodzi mi o fotele i gabinety dla nich. To by było śmieszne! Chodzi mi tylko o dostrzeganie nowej optyki w realiach socjalizmu, a taką optykę mają ludzie urodzeni tuż po wojnie — trudno, żebyśmy nie pamiętali oddechu, dzieciennie jeszcze wyczuwanego, roku 56 (ja na przykład pamiętam rehabilitację ojca), obłudy i nagonek roku 68, no i nowego przebudzenia pod koniec 70, po którym przyszły doświadczenia uczestnika. A o tych coś ci już powiedziałem...

Czego się obawiam teraz? Wiesz... chyba trochę przebiegłości tych cwanów, co przez lata nauczyli się żyć z partii, a odnowę w niej cierpliwie wekslują tak, żeby nie naruszyła ich beneficjów. Zastanawia mnie, bracie, pewność siebie jednego satrapy. W uczciwych wyborach partyjnych przepadłby jak nie, a tak, dzisiaj obwieszcza nowy styl wybierania — i przy tym po cichu pozbawia się ze swojego kręgu tych, co potrafią z nim otwarcie dyskutować. Zmiany w partii to dla niego nie nowość...

STANISŁAW KOTWICA



— Gdybym ja miał zdrowie, to niejednego młodego we wsi zakasowałbym.

— No, tak — wtraca się żona. — Toż ty ledwo chodzisz.

— Właziłem po drabce, by mojej krowinie trochę siana uskubać. Obsunęła się i spadła. Nie było wcale wysoko, a czemuś od razu przytrafiło się złamanie.

— Trzeba było nie leżeć.

— A tam, powiadasz. Przecie ja ją tyle czasu pasłem nad rowami. Przyniosłem jej trawę z miedzy, a teraz miałem nic nie dać? Ona pozna je mniej na odległość, ta nasza jedyna żywicielka.

Nagle — jakby coś sobie przypomniał — zrywa się, kuszyka o kulach do drzwi, zamyka je na solidną, drewnianą zasuwę, po czym wraca do stołu i mówi ścisłym głosem: — Gdyby się tak dowiedzieli, że pan u nas jest i ma to wszystko opisać, to byłoby w domu nowe piekło. Ale pisząc niech pan pozmienia nasze nazwiska.

Chwilę czeka na potwierdzenie. Ulega argumentowi, że jeśli moje pisanie ma mieć skutek, niczego nie mogę zatajać.

— Nie wiem, czy potrafię to zgrabnie opowiedzieć. Bardzo żałuję, że synowi to wszystko oddałem. Gdybym przekazał państwu, miałbym więcej grosza. Mogłem też obdzielić moich sąsiadów, zobowiązać. Szczęście, że mamy jeszcze córkę: jest w Białymstoku. Te nam nic nie dają, a zobowiązali się pięć lat temu. O, pan patrzy, jak wół stoi w testamentie: „Dnia piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku w Państwowym Biurze Notarialnym w Wysokiem Mazowieckiem przed notariuszem Władysławem Wistockim stawili się: Zbigniew Kuroński, syn Anny i Jerzego, oraz jego żona Maria Kurońska, córka Hieronimy i Mariana, oraz Adam Kuroński, syn Zbigniewa i Marii, jego żona Monika, córka Anny i Jerzego [...] Zbigniew i Maria Kurońscy przenoszą na rzecz syna Adama i synową Monikę, małżeństwo Kurońskich, własność spisaną w/w paragrafie, z przynależnościami i zapasami pól. W zamian za to zobowiązują się do następujących rocznych świadczeń na rzecz Zbigniewa i Marii małżonków Kurońskich, płatnych w październiku każdego roku: 2 kwintale pszenicy, 10 kwintali ziemniaków, 1 tonę węgla, 140 kilogramów mięsa wieprzowego, metr sześcienny drewna opałowego, a ponadto zobowiązują się utrzymać zimą i latem krowę oraz pięć sztuk gęsi [...]”

— O zobowiązaniach wobec nas zapomnieli bardzo szybko — mówi Maria Kurońska. — Człowiek przeczuwał, co go czeka na starość, wahał się, ale oni wymusili na nas to gospodarstwo: nie chcieli pracować, bo mówili, że nie robią na swoim. Więc ojciec powiedział: „Chodź, Adam, ten majątek na ciebie zapiszę”. Zamierzaliśmy im najpierw oddać połowę, nie zgodzili się. Mówili tak: „Jak mamy dostać, to od razu wszystko, z kamieniami i z wodą”. Rozdrabnianiu ziemi przeciwdziałała się też gmina. Namawiałam ojca, aby ich nie słuchał. Jak mają od nas odejść, to odejdą, a majątek roztrwonią. Prosiłam: „Robiliśmy tyle lat, pracujemy jeszcze ten rok. Poczekaj z tym przekazaniem”. Ale on tłumaczył: „Matka, posłuchaj, potrzeba nam, starym, tyrać na tej ziemi? Oni są młodzi, niech robią i rządzą, a jeśli nam chyba zawsze coś dadzą. Przecież jesteśmy ich ojcami”. Miał dobre serce dla dzieci. A one? Gdy zachorowałam, to nie było komu w piecu rozpalić. Jak poszedł mąż do szpitala, synowa powiedziała mi: „Ty stara kutwo, nie oglądaj się na mnie, tylko szybciej zdychaj, bo nawet ci szklanki zimnej wody nie podam. Rozpierzacie się w połowie domu. Pokoik by wam wystarczył!”

Dotychczas mieliśmy swoją krowę i pięć gęsi — ciągnie dalej Maria Kurońska — jakoś żyliśmy. A teraz, jak on złamał nogę, kto tę krowę będzie doglądał? Musieliśmy oddać im. Obiecali za nią mleko, ale jeśli będą je tak dawać, jak mięso czy pszenicę... Do Zbigniewa w szpitalu przychodzili sąsiedzi, przynosili paczki, a dzieci się nawet nie pokazywały. Prawie dwa miesiące leżał. Aż wstyd użalać się do ludzi, bo syn na każdy zarzut odpowiada: „Jak mnie wychowali, taki teraz jestem”. Boże, mój Boże, czemu ja mu za młodego łba nie ukreśliłam. Jakoś bym to odpokutowała. Oddałam mu

STANISŁAW ZIELIŃSKI

trochę serca dla ojców



wszystko i jeszcze płacę przez niego. O, niech pan zobaczy, na rękę mam dwa odciski. Zimą dużo robę na drutach, serwetki przeważnie. Sprzedaję je po sto, po dwieście złotych; na drobne wydatki jakoś wystarcza, bo za te siedemset pięćdziesiąt złotych człowiek nie wyżyje.

Jesienią zawsze pomagałam im przy burakach, przy wykopkach kartofli. Ale gdy raz powiedziałam do niej: „Monika, urwę sobie trochę jabłek” (osiem jabłonek owocowało), odpowiedziała: „Dobra, tylko ja pokazę z której”. Obiegła wszystkie jabłonki i pokazała taką, na której jabłka siedziały najwyżej. Mąż się zdenerwował i mówi: „Jak ty taka mądra, to ja będę jeszcze mądrzejszy”. Miał wtedy zupełnie zdrowe nogi. Wyciągnął ze stodoły drabkę, włożył na drzewo i trzęsie. Naspadało sporo jabłek, chyba wszystkie. Z samego czubka były bardzo dojrzałe. Przez cały czas synowa stała z boku i patrzyła, wreszcie nie wytrzymała. Podeszła do nas i mówi: „Może już by mieli dosyć? Tak zbierają i zbierają. Na targ chyba z nimi nie pojadą”. Zbieraliśmy dalej. Wtedy zaczęła nas wyganiać. Ojca to zdenerwowało. Jak nie zeskoczy z drzewa, jak nie obróci się do niej z grabiami! Miała szczęście, że uciekła. To ja na plecach z Szepietowa nosiłam sadzonki, a ona mi nawet nimi nacieszyć się nie da!

Przecież ze mną można się zgodzić — uspokaja się powoli Maria Kurońska. — Nie żądam dobrobytu i nie wymagam wiele. Dobrze rozumiem, co to bieda, praca, gospodarstwo. W domu miałam ojca chorego na płuca i dziewięć młodszych

rodzeństwa. Mamusia ciągnęła całe gospodarstwo. Coraz częściej wyręczałam ją. Wprawdzie mieszkali z nami ojciec mamy i brat, ale oni też ciężko chorowali. Gdy miałam dwanaście lat, już sama konia zakładałam i jechałam do syndykatu. Pamiętam, życzliwi ludzie pomagali mi z wozu worki ściągać. „Dziewczynko, mówili, przerwiesz się”. Musiałam też umieć cepami młócić, choć częściej uderzałam o głowę niż o klepisko.

Z rodzeństwa jest nas tylko troje. Wtedy zapalenie płuc było straszną chorobą. Kto na nią zapadł, to już nie wyleczył się.

Nie wiem, co z niej za gospodyni — pani Maria wraca do współczesności. — Co roku przychodzili do nas ludzie po ogórki, po kapustę, po pomidory. Z wielu warzyw sama przygotowywałam nasioną. W owies wkładałam nasadki, ładnie rosło. Ziemia w burakach nikt u mnie nie zobaczył. Sialiśmy zawsze marchew jadalną i pastewną, proso, sadziliśmy dużo brukwi. Co roku chowałam se sto kur, ze trzydzieści kaczek, indyków, gęsi. Synowa trzymała tylko 12 kur i jeszcze narzeka, że nie ma czym wyżywić moich dwu. Jesienią mieli cztery krowy. Dwie sprzedali; teraz, razem z naszą, są trzy. Ciągłe się zastanawiają, czym je wykarmić, a szczególnie ojcowiska. Z moimi pięcioma gęsiami zrobili tak: jedną okulał, że nie mogła chodzić, drugą gdzieś zgubili, pewnie we własnych żołądkach. Zostały trzy: jedna jest chora (też nie wiem czemu, bo u mnie nigdy gęsi nie chorowały), druga nie widzi, tylko ta trzecia jeszcze jakoś zipie...

— Cały czas są dla nas tacy „życzliwi” — przerywa monolog żony pan Zbigniew. — Człowiek przeżył niejedno i nie jest głupi. Znam psoty, wygłupy, żarty, ale to, co oni z nami robią, jest prawdziwym draństwem. Nie życzę im źle na starość, ale ich dzieci przecież już rozumieją i widzą. Szkoda słów. Lepiej powspominać młode lata.

Oboje chętnie powracają w młodość. Współczesność dostarcza im tak mało wzruszeń.

— Bywało, że jak szliśmy z zabawy, wyciągnęliśmy chłopca ze studni mleko, wypiliśmy, a chłop później przeklinał. Jednemu wóz rozebraliśmy na części, wnieśliśmy na dach stodoły i złożyliśmy. Przez kilka dni szukał, policję już chciał wzywać. Pokazał mu jeden z sąsiadów. Gospodarz kłął na nas, wyzywał, ale w końcu przyszedł i powiedział: „Pomóżta, chłopcy, go stamtąd ściągnąć”. Litr bimbru nam za to postawił, ale wcześniej wóz w stodole zamknął.

Często byli we wsi tłoki. Chodziliśmy wszyscy. Po robocie mogliśmy się pobawić. U ojca nie było tłok. Żniwa i wykopki opędzaliśmy sami, a miałem aż czterech braci. Później szliśmy do majstra. W Dąbrowie stawialiśmy remizę. Raz wracamy z zabawy, zaglądamy do jednego domu przez okno, a tam panny wszy po głowach ganiają! Zauważyły nas. Jak nie pójda z piskiem po kątach! Oj, panie, w niektórych domach była wieczysta bieda. Sól czy cukier brali na deka. Rowery od Żyda Kijawki mało kto mógł kupić. Do kościoła, na zabawy, szło się boso, a buty wkładało się dopiero przed parkanem lub przed progiem. Boso biegałem też po rżysku. Gdyby mój syn był tak wychowany, to na pewno byłby teraz inny. Bogactwo i władza mu do głowy uderzyły.

Podwórko Kurońskich całe tonie w błocie. Młody gospodarz, zobaczysz mnie, grubiańskim głosem pyta: — A czego chciał? — Po wyjaśnieniach dodaje: — Wy wszyscy zawsze nos wsadzali w nie swoje sprawy. Ojciec jest już stary, a jeszcze chciałby być mądrzejszy ode mnie. Skarży się na nas, że mu nic nie dajemy. Sami też nie opływamy w dostatki. O, niech zobaczy, chowają gęś dla córy w Białymstoku. Zresztą, niech robią, co chcą. Dostają teraz 750 złotych, to powinno im starczyć. Samo państwo im przyznało, a państwo zawsze wie, co robi. Lepiej zajmijta się, pismaki, wyposażeniem nas w paszę, w węgiel, a nie starymi. To je nasza rodzinna sprawa.

Sąsiedzi przyznają, że gdyby młodzi Kurońscy mieli trochę serca dla swoich ojców, w domu nie brakowałoby im nawet przysłowiowego ptasiego mleka. Żalują starszków i współczują ich nieszcześliwej doli, ale do sporu się nie mieszają, choć pani Maria nie raz u nich płacze. Sąsiadka jej wtedy przypomina: — A mówiłam, jak synowa brała do domu: „Trzymaj, kobieto, ich krótko, bo inaczej zgody u was nie będzie”.

Starzy Kurońscy skarżyć do sądu dzieci nie pójda, bo to i grzech, i wstyd przed ludźmi.

— Przecie się kiedyś opamiętają, muszą się opamiętać — powtarzają oboje, a póki co, uciekają przed Moniką i Adamem we wspomnienia. Tam ich nie dopadnie niczyja podłość.

Fot. GABOR LÖRINCZY





23.12.1980 r.

Wydzieliłem w „Organie” swój wiersz, niech ocaleje dla potomności. Polegli — bez wojny. Martwi — a jeszcze zatykają wam usta

Niewinni — skazani

Ludzie — a mówią o was

„wydarzenia”

Młodzi — choć o dziesięć lat starsi

Zamordowani — gdzie są mordercy

Dostaliście od nas trzydzieści

milionów minut ciszy

i pomnik

Wam to nie wystarczy — my...

Tak. Ale czy ja naprawdę wiedziałem, o czym piszę, czy wyobrażałem sobie, co to znaczy wyjść do kolegi i zostać zastrzelonym na ulicy? Teraz i tak wiem dużo, a co wiedziałem rok temu! Rok temu grałem wariata w programie „Wariaty — czyli dowcip słowny i płaskie aluzje” i uważałem, że tak jest najlepiej. A nie było. Mimo I miejsca w Pile. Ale dzięki niemu pojechaliśmy do Kielc i uświadomiliśmy się. Nagle i skokowo. Byliśmy programowo apolityczni, a teraz nie wyobrażamy sobie innego kabaretu. („Dzisiaj w KC — jutro w pace”). Przecież chyba teraz jesteśmy szczerzy, bo jak nie, to po co? Okazałoby się, że jesteśmy koniunkturalistami (18 liter). A UKOS? To przecież my. Piotr, Jachu, ja. Więc gdyby... Nie, nie mogą mieć racji historyczki z IV b, które mówią, że UKOS to „prywatna zabawa IV a” (to się nazywa „walka klasowa”). Swoją drogą nie potrafię zrozumieć tych dziewcząt (kobiet właściwie). Mają po 18 lat i są sceptycznie nastawione do odnowy, potępiają „Solidarność”, maltretują Wałęsę. („Death trap” — Hawkwind, nigdy mi się to nie znudzi). Skąd to się bierze? Trzeba być spaczonym moralnie, trzeba być skończonym materialistą (humanistką?). Czego nauczyły je ogólniaki? Cynizmu i sceptycyzmu. Jak można dzisiaj powiedzieć: „Widzę, że jest źle, ale nie wierzę, że można coś poprawić”. Jak można!

„Bąble” byli z telewizji w durym programie Łazuki. Śpiewali „Prawde” i o „degenerację artystów”. Denerwowały mnie postawione kołnierze marynarek. Oni i moda? To się w pale nie mieści.

Spotkałem wczoraj D. i W. w knajpie. Rozmawialiśmy o Sylwestrze. Wśród nich (dwóch) przeważał pogląd, że odbędzie się on na zasadzie „z piąchy w ryja” (dziewczyne, rzecz jasna) i do łóżka. Nie powiem, że bym był zachwycony taką perspektywą. Nie biorę ich specjalnie serio, ale wszystko jest możliwe. W każdym razie mam cichą nadzieję, że choć pocałuję się z nią pierwszy raz w życiu (sic!). Ma się te zaległości. Chłop, 19 rok mu leci... ech, szkoda gadać. Na szczęście nie jestem w nastroju „when you're feeling down”, bo nie starczyłoby papieru w całej chacie na te żale, na te zaklęcia i retoryczne pytania (dlaczego ja?, po co to wszystko?), rozwodnione — obficie płynącymi — gorzkimi łzami.

24.12.1980 r.

No tak, nie skończyłem i poszedłem oglądać „Niewinnych czarodziejów” Wajdy. Coś wspomniałem! Ta gadka, ten szpan, to już nie to, co dziś.

Dzisiaj Wigilia, najpiękniejszy dzień w roku. Tak, tak, na pewno. W wieczór wigilijny nastrój jest niesamowity i niepowtarzalny. Jeśli będę miał rodzinę (ostatecznie zaczynam w to wierzyć), będę pielęgnował obyczaj wigilijny, jako moment corocznych nieobliczalnych wzruszeń.

Książka Topora „Chimeryczny lokator” — wiedziałem. Koszula — nieźła, choć styl militarny (brr), ale gustowna i ze zwykłymi guzikami (zaraz, zaraz, przecież to koszula ojca, którą sobie przywłaszczyłem; ja dostałem inną, też całkiem, całkiem — białą, sportową). Elektroniczny zegarek dla matki — rozstrojony. Nieładnie z jego strony (do rymu). Zepsułem, palant jeden, młynek do kawy sąsiadom (a właściwie przyczyniłem się do zepsucia go przez Przemka). Może to być pretekst do refleksji — natury ogólnej: dlaczego wszystko psuje, dlaczego wszystko leci mi z rąk, dlaczego później dostaję histerii i tłukę głową o ścianę, albo gryzę sobie rękę do krwi. Znerwicowany wymoczek w koszuli

khaki. Powinienem „udać się” do specjalisty. Udać się — przecież ja jestem właściwie nieudany nieudaczny, niedorobek albo po prostu dupa wołowa. Rodzice, wychowanie — tu leży pies pogrzebany — genetyczny spadek po rodzicach plus ich (głównie matki) absolutny antytalent wychowawczy (pedagogizy!), dający w efekcie twór absolutnie zdumiewający (ja mam z tego radochę — ześmiać się można ze śmiechu jak pszczoła), twór efemeryczny i nie przystosowany do otaczających go warunków naturalnych. Jak ja mam przedłużać gatunek Homo Sapiens, gdy w chwilach sam na sam z dziewczyną dostaję gwałtownego pikania przysadki i nie potrafię sklecić dwóch zdań do sensu (19 lat), a na dodatek staczam krwawe boje z matką o możliwość pójścia na każdą szkolną zabawę (19 lat!!!), do kina (19 lat!!!), czy do kolegi, przy czym muszę dokładnie wytłumaczyć po co do kolegi się udaję (sic!), bo inaczej przez tydzień matka patrzy na mnie, jakbym jej ojca harmonia...

Z tym pogrzebem ojca wychowawcy też szopka wyszła. Miała być cała klasa, przyszło pół na mszę i jeszcze nie wszyscy pojechali na cmentarz. Głupio też, ale właściwie na cholere są pogrzeby — nie umiem powiedzieć ani nawet zrozumieć. Człowiek po śmierci pragnie uzyskać potwierdzenie: znałem za życia tylu i tylu ludzi, tylu i tylu płacze po mnie, tylu i tylu szanowało mnie zawsze, tylu i tylu szanuje mnie teraz, tylu i tylu złożyło kwiaty na grobie. Co za piramidalna głupota! Ze strachem myślę o śmierci rodziców. Jak ja się wtedy zachowam? Jak będę się czuł. Hej, wyjechać gdzieś, powiedzmy otwarcie — uciec, od martwych twarzy i świątecznych ubrań. Swoją drogą ciekawe, co poza życiem istnieje (dziwnie to brzmi — gramatyka). Śmierć dla ciała, „Life after life” dla... no przecież nie duszy, ateista zatwardziały. Wisi więc to coś i patrzy na pogrzeb swojego ciała, i ryje się (jeśli ma takie możliwości), bo co widzi — oto wygłaszają mowę: „Jeszcze niedawno był wśród nas, bawił nas w kabarecie i... i co jeszcze można o szanownym zmarłym powiedzieć?” A tymczasem rodzina płacze, koledzy z wieńcem przestępują z nogi na nogę — chcieliby to już odbębnić i iść do domu. Zmarły ich rozumie. Sam niecierpliwilby się w takich okolicznościach jeszcze bardziej. A dalej stojący koledzy umawiają się do knajpy na popołudnie. Andrzej podszczypuje Oleńkę (tego jednego zmarły nie potrafi zrozumieć), nie potrafi on w ogóle podszczypuwać i chyba w ogóle nie potrafi. Więc może lepiej rzeczywiście być zmarłym? A jeśli to wszystko, co opowiadają ci od życia po śmierci, jest halucynacją, wytworem wyobraźni, łabędzim śpiewem gonionego mózgu (ładne, co)? No, to bezwarunkowo nie oplaca się być zmarłym.

Zauważyłem, że wszystkie moje refleksje, niby ogólne, są w rzeczywistości refleksjami osobistymi głębokiego egocentryka, i to też chyba przez rodziców (młynek też przez nich popsulem — autoironia), wstrętnych egoistów, którzy w swoich dzieciach widzą chodzącą reklamę siebie samych. Jestem synem swojego ojca: niezłomnym, roztargnionym, niezyciowym, egzaltowanym, i swojej matki — skąpym, historycznym, złośliwym, cynicznym.

Chciałbym pisać o wszystkim, a w końcu piszę o niczym. W końcu to, co miałem powiedzieć dziewczynie jako moje najpiękniejsze doznanie z pobytu we Francji, „przeleję na papier”. Pokaz sztucznych ogní w Metz... Nie, nie opiszę tego facetem, którzy śmiejąc się od czasu do czasu i paląc ekstra mocne z filtrem przebijają się przez moje pismo (albo może machnęli ręką i wyrzucili do kosza, ale tego nie warto zakładać, bo skoro tak, nie przeczytają tego i nie dowiedzą się, że wziąłem to pod uwagę; nawiasem kwadratowym mówiąc, jest to wszystko wielce prawdopodobne). Aha, dostałem jeszcze tomik s-f „I stało się jutro” — trzy opowiadania jakiejś facetki (niestety, nie mam przekonania do facetek piszących fantastykę) i dostałem książkę o sztuce prymitywnej z Rousseau (tak się chyba pisze, nie chce mi się za-



ta gadka
ten szpan





glądać na okładce. Kiedy ja to przeczytałem?

Matura za pasem, a ja tracę czas na „pamiętnik”, zamiast wkuwać historię (dwójka ze średniowiecza!). Na co ja liczę? Chyba na PWST. Akurat — z moim „r” (jak to się łatwo i poprawnie pisze), z moją kondycją i prezencją. No, nie przesadzajmy: z tą nie jest tak źle. To dlaczego dziewczyny mnie nie chcą? Aha, bo jestem nieśmiały, a im bardziej mnie nie chcą, tym bardziej jestem nieśmiały, a im bardziej...

Muszę opracować scenariusz występu na zabawie noworocznej. Tradycja świetna, ale kto wymyślił, żeby w tym roku nasza klasa przebrała się w ludy Wschodu. Na razie mam zakończenie. Przywódca na trybunie rzuca w tłum ryż. Tłum krzyczy: „Mało, mało”. Wreszcie wypada Michał Strogonow i zabija tyrana, po czym wchodzi na trybunę i woła: „Niech żyje osiemnasta!” No i jako element scenariusza mam harakiri w wykonaniu niezawodnego K.

Zuję gumę. Po wyjściu od Niej, gdy zaprosiłem ją na Sylwka, skonstatowałem z przerażeniem, że cały czas zułem gumę, nie mówiąc o tym, że potwornie się przechwalałem (na swój sposób, rzecz jasna). „Ona zniszczyła mnie w trzy miesiące” — powiedział Piotr. W ile mnie zniszczy? W dwa? W miesiąc? W tydzień? A może już zniszczyła? Ja i tak jestem zniszczony. Ręka mi się poci od pisania.

Ciekawe, co to za kaseciak ta pierwsza nagroda. Ech... Czy ja aby na pewno robię wszystko, żeby ten konkurs wygrać?

26.12.1980 r.

Pozwoliłem sobie dzień nie pisać i co? Katastrofa. Nie da się już odzwyczycie tego wszystkiego. Zarłem i doznawałem dwa dni (bowiem 26 dobiega już końca, zegarek mi stał i nie będę wiedział, kiedy zmieni datę). To jest całe moje nieszczeście. W ciągu dnia doznaję tylu wrażeń, tyle mi przychodzi do głowy, myśli, i wszystko to przepada bezpowrotnie. Jestem (a raczej mój mózg jest) zaczopowany natłokiem impresji i ekspresji nawzajem się

przepychających po moich udreżonych półkulach.

Ostatnie wrażenie — Pietrzak. No co za wspaniały facet. Nie podobał mi się tylko jeden jedyny demagogiczny kawałek: o różnych zakazach czyhających na wolnego obywatela wolnego kraju. Większość użytych w wierszu „przykładów” zakazów i ograniczeń swobód obywatelskich było typu: „nie palić”, „kapiel wzbroniona”. Komentarz chyba zbyt cenny. A propos palenia, w pierwsze święto nie było ani jednego.

Walcę z pokusą opisanie ze szczegółami, jak to w czwartek dostałem ataku hysterii, gdy matka powiedziała, że jestem kandydatem na zdrajcę ojczyzny. Ale myślny o przyjemniejszych sprawach. Jedyną pożyteczną rzeczą, którą zrobiłem w czasie świąt, było opracowanie tego scenariusza na zabawę (zresztą nie do końca). Jest piękna scena w chińskim sadzie.

27.12.1980 r. (sobota)

Przypomniałem sobie, że warto by pisać przy datkach dni tygodnia. Jeden z songów STU muszę przełamać do naszego kabaretu (słowa L. A. Moczulski — to A. dopiero mu niedawno przybyło — muzyka M. Grechuta). „Na szczyrość naszych nocy, na naszą bezimiennność, na szarość i nijakość jutrzejszych naszych marzeń...” itd., itd., aż wreszcie „...listek, iskiere, cień, jak kotwice, wbij w nasze serce”.

Dlaczego nie ma mądrych i inteligentnych dziewcząt? Przynajmniej ja nie znam. Jak są mądre, to nie inteligentne, jak inteligentne, to po prostu głupie. I które są lepsze? Lepsze... do czego? Czyżbym zapominał, jak modliłem się o dziewczynę, byle ładną. A teraz, czy jest inaczej? Co z tego, że zgodziła się na Sylwestra? Dla mnie to może wiele znaczyć, dla niej nie! Jeśli będzie się dobrze bawiła, może zechce pójść ze mną na studniówkę. Oj, żeby zechciała. Będę się starał. Będę dowcipny i elegancki (koń by się uśmiechał). Chciałbym pojechać w wakacje na dwa miesiące po Europie zachodniej rowerem, ale muszę znaleźć towarzysza. Wierzę, że to jest realne. Spróbuję pogadać z Piotrem.

A jakby tak ona się we mnie zakochała i pojechalibyśmy oboje do Francji, do Beneluxu, do Włoch (Wenecja), nawet do Niemiec. Science fiction. Nie dla mnie taki miodowy miesiąc (czy dwa). Mama by mi nie pozwoliła. Wykluczone! (Staruszka byłaby niezłym sędzią sportowym — co chwilę by kogoś wykluczała). Ze strachem myślę o zapowiedzianej przez nią rozmowie o Sylwestrze. Będzie wesoło, jak się nie zgodzi. Pójść, pójść, ale za jaką cenę? I czy się będzie kalkulowało.

Świetny film dzisiaj widziałem — „Bo oszalałem dla niej”. Dla mnie bomba. Mój Boże. Być aktorem. Dlaczego mają przekreślić talent aktorski faceta tylko dlatego, że trochę nie wychodzi mu „r” i może się zdyszał od czasu do czasu? Jak powiem Wielką Improwizację to się wzruszą i mnie przyjmą. Początek już umiem: „Samotność, coż po ludziach...” Całkiem niezły początek.

Tego samego dnia wieczorem

Słucham songów teatru STU metodą hiper-stereo (głośniki przy uszach). Tylko w ten sposób można osiągnąć pełnię stereo-cudu. Przestrzeń jest holograficznie kolofonetycznie realnie namacalna. Facet, facetka, chór, zespół. Widzę ich wszystkich uszami wyobraźni. Ciężko mi się skupić na pisaniu, kiedy śpiewają „Spadając czytamy klasyków”. Coś się buntuje. Spadając, dlaczego? Ja chcę w górę! Chcę lecieć. Ech, ty, romantyku tani, zujący gumę, w modnej koszuli, nie ty jeden chciałeś lecieć. A teraz Różewicz — „Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie. O nocy, nocy, pomóż zasnąć, odpocząć, zasnąć”. Łatwo powiedzieć: „zasnąć”, „odpocząć”. Na zdrowy rozum biorąc — nie mam po czym odpoczywać, a taki jestem zmęczony. „Na szarość i nijakość jutrzejszych naszych marzeń...” W tej chwili moim marzeniem są kolana dziewczyny, na których mógłbym położyć głowę i zasnąć, odpocząć, zasnąć. Jaką drugą Polskę byśmy zbudowali, gdybyśmy wszyscy byli tacy jak ja?

Są gorsi, są. To jest piękne pocieszenie. Pozostałość mentalnościowa po „propagandzie seksu”. Jak mówi kolega kierownik — „Wewtem samym czasie, wew Ondurasie, wskaznik o girka koma ośm niższy był”. I co z tego, że są oni którzy depeza każde ziarno ziemi, każde źdźbło niewinne (co mnie dziś tak wzięło), są po prostu materialisci, ciśni mieszczuchowie, utalentowani ludzie, którzy marzą jedynie o tym, żeby mieć psa jak słonia, samochód jak Domy „Centrum” i h... jak pałac kultury. Oj, galopka, galopka, pióro ponosi. Dobrze, że jeszcze umie stawiać kropeczki. Żywię do nich bezinteresowną nienawiść za płaskość, za szwindlowatość, za „odkrywcze” poglądy. Wyznał mi kiedyś jeden taki, kiedyś siedzieli na parapecie i w dół zerkali, że ma czasem takie napady: chciałby rzucić to wszystko (i skoczyć — dopowiadał w myślach i zaczynał patrzeć na niego z zainteresowaniem) uciec z miasta, żeby gdzieś zacząć nowe życie. Już widzę to jego „nowe” życie. Ten sam będąc w Oświęcimiu oświadczył, że się zawiódł, bo myślał, że go to ruszy, a tu ani dudu, może w Majdanku lepiej by poszło, bo tam zginał dziadek. Tłumaczę sobie, jak komu dobru: potrzebni są tacy MATCE-OJCZYŻ-NIE: przy okazji realizacji swoich „marzeń” służą Polsce osiem godzin dziennie (jeśli wcześniej z niej nie wyjechali) i przysparzają jej więcej korzyści niż tacy pseudointelektualiści, pseudoartyści, jak ja. Tłumaczę sobie, a jak ich widzę, to mnie lekko skręca.

28.12.1980 r. (niedziela)

Telewizja się skończyła dziś o 2.30 i nie miałem już siły, ochoty ani zdolności pisać. Natomiast dzisiaj mam warunki — w TV leci jakiś taśmowcowy melodramat. Wytrwałem do 21.00 i wyczerpała mi się cierpliwość. Te filmy na przełomie wczoraj-dziś to nie było nic specjalnego: mafia, gangi, wywiad przemysłowy, Anthony Queen.

Dostałem tylko dwie kartki z życzeniami, od Eli, która ma do mnie interes, i od Lecha, który interesu nie ma (przynajmniej do mnie), ale niepokoi się, że nie odpisuję. Co mam odpisać i kiedy? Nie mam czasu, żeby uścisnąć do czegośkolwiek poważniejszego — opowiadania, humoreski, a wierszy przecież nie wysłałem po tym, co ostatnio o nich napisałem. Jednak trzeba mu odpisać i wytłumaczyć jak młotowi, iż jeśli ja powiem, pomyślę, napiszę, że coś

jest poezją, to to jest poezją. Jak w 1980 r. można być takim konserwatystą i twierdzić, że wiersz musi mieć tytuł i powinien być do rymu. Na dobrą sprawę cały ten pamiętnik jest niezłym kawałem złej poezji.

Do Sylwestra pozostały dwa dni. Żałuję, ale nie opiszę wydarzeń Sylwestrowych w pamiętniku, bo go wcześniej wysłałem. Można by się pokusić o próbę prognozy. Szum, jakby ktoś wciąż spuszczał wodę w mojej głowie, twarzę „przyjaciół”, zawiesina papierosowego dymu w powietrzu, muzyka hałaśliwa, późnej stopniowo miękniejąca. Nastrojowe światło, przyciszone śmiechy, ogniki papierosów w ciemności, awantury w łazience, życzenia i jej usta o północy, usta, a może tylko policzek. „Życzę Ci, żeby wszyscy zyczeli ci tak dobrze, jak ja”.

Wymyśliłem coś jeszcze wczoraj. Życie trzeba wybierać jak ziemniaki z ogniska gołymi rękami, nie dbając o poparzenia. Tylko to nie jest takie łatwe. Będziemy próbować. Czy trzeba koniecznie wyrosnąć z młodości, zachłanności, szaleństwa, z nieodpowiedzialności, z naiwności, z tych podchmielonych rozmów, czyje bohaterstwo lepsze. Rusków czy Amerykanów, z tego tłumaczenia namiętnego każdego zdania opowiadań s-f. Ależ tak! Ależ nie! Być dużym i nieustatkowany, nieumieblowany być wszędzie, gdzie coś się dzieje. Ja chyba jeszcze nie jestem młodziem. Ja jestem dziecko. Ja mam poetycką wizję świata. Świata, który jest taki różnorodny, jak matematyka, i można go kochać lub nienawidzić (ja na zmianę), ale trzeba do niego przylgnąć jak wampir i pić wszystkie doświadczenia, złą i dobrą krew, i nie żałować, kiedy się zachłynie; wlać trzeba na drzewa i góry, spuszczać się w głębiny, szokować sztuką, eskalować naukę kierując ją ku celowi, który jawi się jak pijana, przewrócona na bok ósemka. Tak trzeba, więc czemu, u licha, tracę czas i oglądam wciąż te same twarze, te same sprzęty, słucham tej samej muzyki. To się musi kiedyś skończyć i wtedy świat będzie dla mnie, a nie ja dla niego. Brzydko to brzmi: świat dla MNIE. Ale coż innego mi pozostaje? Przekonałem się, że niewiele może dać światu, muszę więc brać od niego. Tak, tak, oczywiście, nie zapominam o ojczyźnie. To znaczy: nie ona chyba teraz jest najważniejsza (państwo, terytorium), gdy nie zagraża nam żadna napaść (wierzę na słowo tym, którzy tak mówią). Najważniejszy jest naród i to wobec niego mam rosnący dług. Oj, w patosik wpadliśmy, niepotrzebnie. Wbrew temu, co się o nas, młodych, mówi — w większości jesteśmy naprawdę Polakami, i nie śmiejemy się z tego, z czego nie powinniśmy. Boże, jak mi się myśli rozlaża. Przerwa!

29.12.1980 r. (poniedziałek)

Dzisiaj przyszedł z Warszawy wywołany film. Mój pierwszy film. Obejrzałem pod światło. Teraz trzeba się rozejrzeć za projektorem. Nie jest nadzwyczajny, co kilkadziesiąt kadrów znajdują się partie niedoświetlone. Ale są sekwencje całkiem całkiem, zresztą trzeba to obejrzeć normalnie, jako film. Pierwsza część jest dokumentalna, druga fabularna.

Wpadła do mnie Marzena (sasiadka) i zagadaliśmy się o Francji. Mnie sprowokowała do gadania, to mogło być, ho... albo jeszcze więcej. Doszedłem do wniosku. Ciekawego. Oto ów wniosek: wszystko, co przeżywałem, przeżywałem w dwóch celach — dla zaspokojenia własnego głodu coraz to nowych doznań i dla możliwości opowiedzenia tego ludziom. I to jest cel równorzędny! Opowiedzenia nie po to, aby ich oświecić i poinformować, ale aby ich olśnić — wzbudzić zazdrość, podziw. To po prostu kompleks niższości daje o sobie znać. Muszą się mna zachwycać. Jeśli będę zwyczajny, przeciętny, to będę gorszy. Muszę być najzdolniejszy, najinteligentniejszy. Najsprawniejszy fizycznie nie będę, nie ma co marzyć (co ja robię wobec tego? Ja pogardzam sportem i kulturą fizyczną. Okazuje, że jestem ponad to i uważam, że to marnowanie czasu. Jest to piękne wykreślenie kota ogonem, typowe dla mnie). Obiecałem zgłosić się w Sylwestra z Kochanowskiego. Trzeba już dzisiaj co nieco poczytać. W telewizji był „Kordian”. Dialog Fronczewski — Zapasiewicz to coś nie do opisanja. Tak.

GRZEGORZ KACZMAREK
Złotów
Fot. GABOR LÖRINCZY



Urządźcie mi taki pogrzeb

Przyszła do mnie żona Władysława Tarcickiego, który miał warsztat szewski na Rybakach, i oznajmiła, że jej mąż umarł. Właśnie wraca od księdza proboszcza, który kategorycznie odmówił pogrzebu, i powiedział: „Niech go pochowa Czarnecki, za którym on głosował”. Razem z wdową był przyjaciel zmarłego. Zapytałem go, czy przysięgną w sądzie, że prawda jest, co mi powiedzieli? Oboje podnieśli ręce i oświadczyli, że przysięgną.

Wierzącej żonie, wdowie, poleciłem wypożyczyć krzyż z parafii ewangelickiej od pastora Kacpra Mikulskiego. Zmobilizowaliśmy robotników i o oznaczonej godzinie przy mieszkaniu zmarłego zebrało się około 200 ludzi. Kondukt ruszył. Na przodzie niesiono krzyż, a tuż za nim dwa czerwone sztandary, przybrane krepą. Po drodze kobiety śpiewały pobożne pieśni. Szliśmy z Rybaków przez Zjazd, Nowy Rynek, ulicą Długą, Stary Rynek i Giełczyńską na cmentarz. Wielu ludzi przylączyło się do konduktu po drodze.

Na cmentarzu przemówiłem nad trumną do obecnych: „Wszyscy znaliśmy zmarłego! Czy był on złodziejem, złym człowiekiem lub pijakiem? Nie! Był biednym, uczciwym szewcem. [...] Kto wierzy, że dusza zmarłego wędruje do piekła, czyśćca lub nieba, ten może być spokojny. Dusza zmarłego Władysława Tarcickiego, według sprawiedliwości Chrystusowej, na pewno jest w niebie”.

Odśpiewaliśmy „Czerwony sztandar” i rozeszliśmy się. Po drodze do bramy cmentarnej podszedł do mnie stary robotnik, który był pięć lat na Syberii, i powiedział: „Towarzyszu doktorze, gdy umrę, urządźcie mi taki sam pogrzeb”. Niestety, nie pamiętam jego nazwiska. Pogrzeb Tarcickiego przez długi czas był przedmiotem dyskusji w Łomży i okolicy.

Wrzesień 1939

Gdy w roku 1939 Niemcy wkroczyli do Łomży, uciekłem do Siedlec. Nikt mnie tam nie znał. Samozwolnie objąłem kierownictwo szpitala pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, który opuścili wszyscy dotychczasowi lekarze.

Niemcy bombardowali miasto. Jedna strona głównej ulicy paliła się. Przy pomocy harcerzy zorganizowałem przenoszenie rannych do szpitala. Wkrótce był przepełniony. Z pomocą kilku pozostałych członków zarządu miasta zająłem gmachy szkolne i w tych prowizorycznych warunkach umieściłem z górą tysiąc rannych i chorych żołnierzy oraz cywilów. Gdy Niemcy zajęli miasto, przysłali mi do pomocy w szpitalu dziesięciu lekarzy wojskowych, wziętych do niewoli w polskim pociągu pancernym.

Po kilku dniach komendant miasta zawiadomił mnie, że Siedlce i Łomża, na podstawie porozumienia, przechodzą pod władzę Rosjan. Wtedy zdecydowałem się na powrót do Łomży. Tworzył się tam już Rewolucyjny Komitet Robotniczy. Zameldowałem się w magistracie i objąłem opiekę nad szpitalem św. Ducha. Władze niemieckie odeszły rano, a wieczorem przybyli Rosjanie.

Poznałem wtedy metody działania Berii i jego aparatu. Ale mogłem to ocenić później, po latach, kiedy Rosjanie sami odcieśli się od „beriowszczyzny”; ocenić i przeżyć raz jeszcze w okresie stalinowskim. Dość powiedzieć, że dopiero w marcu 1957 roku zostałem zrehabilitowany i przywrócony do praw członka partii.

Wróćmy jednak do roku 1939. W nocy zostałem zbudzony i wezwany do magistratu, żeby tłumaczyć rozmowy między komendantem rosyjskim i miejscowym Komitetem. Komitet przygotował obwieszczenie dla ludności, które groziło karą śmierci za nieposłuszeństwo. Komisarz kazał tę groźbę skreślić.

Gdzie zakopałeś broń

W kilka dni potem wezwano mnie do okręgu, do gmachu komendy wojskowej, i tam zostałem aresztowany. Odprowadzono mnie na ul. Polową, do mieszkania opuszczonego przez gen. Młota-Fijałkowskiego, ponieważ tam urzędowało



NKWD. Dopiero koło godziny 16.00 zaczęło się przesłuchanie. Posadzono mnie na stołku naprzeciwko przesłuchującego, który siedział za biurkiem. Po zapisaniu personaliów kazano mi się przyznać: gdzie zakopałeś broń? Kto ze mną należał do „dwójki”, czyli polskiego wywiadu? W jakim banku w Szwajcarii mam swoje konto? itd. Odpowiedziałem, że wszystkie te zarzuty są nonsensem w stosunku do mnie.

Co pewien czas pędzono mnie wieczorem na przesłuchania, które trwały po kilka godzin. Śledczy popijał aromatyczną herbatę i zjadał bułki z wędliną, a ja połykałem ślinę. Na moje argumenty, że jestem polskim obywatelem i tylko polska władza ma prawo mnie sądzić, otrzymałem odpowiedź: my mamy swoje prawa. Z początku przesłuchania szły normalnie. Odpowiedzi moje były notowane, potem ja czytałem protokół i podpisywałem. Pewnego dnia przesłuchujący kazał mi podpisać proto-

wiezenia. Obsługa opuściła gmach. Wyłamałszy drzwi, kraty. Wydołaliśmy się na dziedziniec. Tu przyszli nam z pomocą ludzie z miasta. Kilkutysięczna masa więźniów wysypała się na ulice Białegostoku. Zastanawiałem się, dokąd iść. Raptem usłyszałem wołanie: „Panie doktorze, proszę do mnie”. Była to żona jednego z sierżantów 33 pułku piechoty, w którym dawniej byłem lekarzem. Od niej otrzymałem czystą bieliznę po mężu. Zdecydowałem się nie iść do Łomży, lecz schronić się w miejscowym szpitalu. Zlecono mi prowadzenie oddziału zakaźnego. Po czterech tygodniach wróciłem do Łomży.

Znowu w Łomży

Zostałem puste mieszkanie. W ciągu kilku dni część mebli odnieśli mi ludzie. Do skompletowania stołowego pokoju brakowało kilku krzeseł. Był to piękny komplet, słomiany mahoń, kupiony na wystawie w Poznaniu od firmy braci

doktor
zwariował

kół, nie dając mi go przeczytać. Nabazgrałem coś nieczytelnie. Po powrocie do celi zacząłem się zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji. Podpisywać protokół nie czytając, znaczyło — przyznać się do czynów nie popełnionych. Nie podpisywać — to narażać się.

Postanowiłem zeznania swe doprowadzić do absurdu. Na następnym „doprosie”, czyli przesłuchaniu, na zwykłe: „No, przyznajecie się” — opowiedziałem zmyśloną historię: „Pewien młody komunist przeskadał mi w organizowaniu robotników. Wyprowadziłem go pod pretekstem rozmowy na cmentarz i zaszytowałem”. Opowieść ubarwiłem szczegółami o drzewach tam rosnących, stojących w pobliżu ławkach. Na pytanie, jak się nazywał ten robotnik, odpowiedziałem: Jan Pierdoła. Ucieszony śledczy wezwał mnie na przesłuchanie już w następną noc, chociaż przedtem przerwy trwały po parę tygodni. Wtedy odpowiedziałem mu, że: byłem tym zamachowcem, który rzucił bombę na cara Bułgarii — Piotra — w Mar-sylii, ale uciekłem, a złapali tylko mego pomocnika. Kiedy śledczy pytał miejscowych komunistów, kiedy zginął Jan Pierdoła, dowiedział się, że taki nie istniał. W miescie rozeszła się pogłoska, że dr Czarnecki zwariował w więzieniu.

Przeszedłem niejedno. Przewieziono mnie do Mińska Białoruskiego, później do więzienia w Białymstoku. Poznałem, głód, brud, wszy.

W nocy z 22 na 23 czerwca 1941 r. usłyszeliśmy silne detonacje. Następną noc to samo. Miejscowi więźniowie twierdzili, że bombardowane jest lotnisko w pobliżu

Nowakowskich. Nie cieszyłem się nim długo. Pewnego dnia przyjechały dwa samochody niemieckie z żandarmerią. Zabrali wszystko. Zostawili gabinet lekarski, ławkę w przedpokoju i łóżko w sypialni. Na pożegnanie poradziłem im, żeby pojechali do swego burmistrza, to w jego gabinecie znajdą brakujące krzesła.

Dyrektorem szpitala św. Ducha był dr Knot. Jako Żyd nie mógł nim pozostać za Niemców. Porozumiałem się z nim i samowolnie objąłem stanowisko dyrektora oraz ordynatora interny i położnictwa, a on został na chirurgii. Współpraca szła harmonijnie. Coraz częściej w szpitalu leżeli chorzy Niemcy. Umyslnie opiekę nad nimi oddawałem doktorowi Knotowi. W ten sposób wielu Niemców poznało go z dobrej strony. Knot mieszkał w Getcie, a całe dnie spędzał w szpitalu. Gdy likwidowano Żydów, został wraz z żoną i kilkuletnią córeczką wysłany do Oświęcimia. Tam wywołano go z tłumu i polecono objąć stanowisko pomocnika lekarza obozowego. Żona i córka poszły na zagładę. Doktor przeżył obóz. Spotkałem go we Wrocławiu, gdzie pracował jeszcze około czterech lat, zanim wyjechał do Palestyny.

Niemcy przysłali mi do szpitala niejaką Frau Tuschnię lekarzkę. Pani ta zaczęła się rządzić jak szara gęś. Miałem przez nią wiele nieprzyjemności. Jedną ze spraw omal nie skończyła się wysłaniem mnie do Oświęcimia. Ale ostatecznie skierowano mnie do Kolna. Niemki dowiedziały się od naszych kobiet, że szczęśliwie leczę dolegliwości kobiece, i zaczęły odwiedzać

mój gabinet. Były między nimi żony dygnitarzy niemieckich.

Pewnego dnia wezwano mnie do chorej żony szefa policji. Zarządzono, bym orzekł, czy trzeba ją natychmiast przewieźć na operację wyrostka robaczkowego do Białegostoku. Po dokładnym zbadaniu chorej wyszedłem na naradę z dr. Bildensteinem do drugiego pokoju. Za nami wlażył mąż chorej i jego przyjaciel, gestapowiec. Skorzystałem z okazji i zrobiłem wykład diagnozy różniczkowej między zapaleniem wyrostka, zapaleniem przydatków macicznych, kolką nerwową i skrętem kiszek. Wykazałem, że w tym przypadku nie ma kompletu objawów na którekolwiek z tych schorzeń. Orzekłem, że jeżeli medycyna jest w ogóle cokolwiek warta, to mamy do czynienia tylko z zaburzeniem w przewodzie pokarmowym. Zaordynowałem środek przeczyszczający i zapowiedziałem, że jutro rano przyjdę odwiedzić chorą. Przyznam, że w nocy denerwowałem się. Rano, gdy wszedłem do chorej, zastałem ją siedzącą w łóżku i uśmiechniętą. Byłem niezmiernie dumny i zadowolony, że zaimponowałem Niemcom.

Innej nocy zostałem wezwany do nieprawidłowego porodu. Padał deszcz ze śniegiem. Przechodząc przez Nowy Rynek usłyszałem: „Halt! Wer da?” Odpowiedziałem po niemiecku: „A kto w taką pogodę lazi po mieście — lekarz, policjant i bezdomny pies”.

Szpital w Kolnie miał tylko 24 łóżka. Personel pielęgniarski składał się z młodych kobiet, z których tylko Teresa Oleszkówna miała kwalifikacje. Funkcję dozorcę pełnił stary Feliks Grzędzki. Był to dawny rewolucjonista, który w roku 1905, pracując w archiwum sądu okręgowego w Łomży, przechowywał w nim nielegalną literaturę pepeesowską. Pielęgniarki znały partyzantów i nieraz, kiedy rany dało się podciągnąć pod kategorię urazów wypadkowych, leżeli oni w szpitalu pod cudzymi nazwiskami. Parę razy rannych partyzantów przywozili żandarmi. Były to przypadki beznadziejne.

Raz żandarmi przywieźli nam zawalonego mężczyznę z gorączką. Chcąc go odswądzić — położyliśmy na podłodze, na dużym prześcieradle, i obsypaliśmy proszkiem DDT. Zebraliśmy parę litrów wszy.

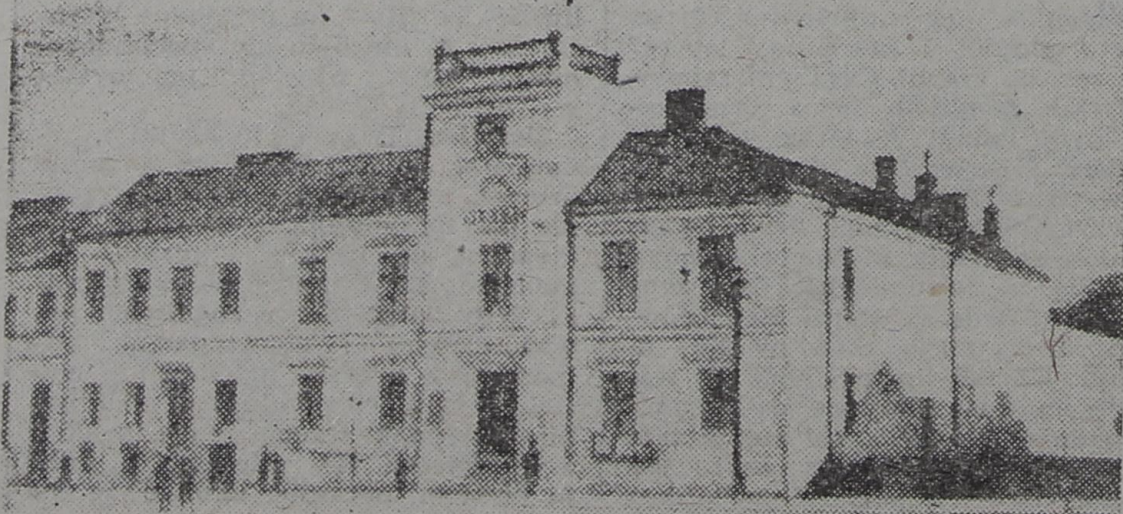
Wiktor Fidor i Florian Żywica

W styczniu 1945 wieczorem wezwano mnie do żandarmerii, abym opatrzył rannych: czterech młodych mężczyzn. Trzech z nich mówiło po polsku. Czwarty był nieprzytomny, miał przestrzeloną głowę. Gdy obtarłem gazą ranę wylotu kuli, stwierdziłem, na gazie tkankę mózgową. Polecono mi zabrać go do szpitala. Leczyłem go zastrzykami i okładami lodowymi na głowę. Po trzech dniach, ku memu zdziwieniu, chory odzyskał przytomność. Dowiedziałem się, że jest Rosjaninem z Archangielska i ma 22 lata. Poleciłem mu, żeby z nikim — oprócz mnie — nie rozmawiał. Siostra Teresa oznaczała mu temperaturę wyższą, niż miał. Gestapowcy przychodzili co kilka dni i pytali o jego zdrowie. Po 10 czy 12 dniach przyszli dwaj cywile, mówiący dobrze po rosyjsku, i wdali się z nim w rozmowę. Na swoje nieszczęście ranny odpowiadał przytomnie. Zabrali go i odjechali.

Na terenie Kolna zastałem felczera weterynarii, Floriana Żywicę, Rosjanina. Po obserwacji przekonałem się, że jest bolszewikiem i wrogiem hitleryzmu. Od tej pory byliśmy w stałym kontakcie. Zaimponował mi, gdy opatrzywałem rannego sierżanta — własowca. Nawymyślał mu i powiedział, że nie będzie miał nawet kawałka ziemi ojczystej na grób. Florianowi zawdzięczam fakt, że nie zostałem aresztowany.

21 kwietnia 1945 r., już po wyzwoleniu, otrzymałem telegram z Ministerstwa Zdrowia. Miałem przybyć do Warszawy w ważnej sprawie. Gdy się zgłosiłem, zaproponowano mi wyjazd do Wrocławia w celu organizowania tam polskiej służby zdrowia.

Wybrała TERESA POLECKA



być poetą

Dawniej, strzelając człowiek za-
trudniał Boga do noszenia pocisków;
dziś zatrudnia komputery i samo-
naprowadzające się na cel rakiety.
Bóg stał się więc niepotrzebny. Ani
czas, ani wieczność. Ani przestrzeń,
ani nieskończoność. Co znaczy być
poetą? Co to znaczy poezja? A mo-
że pora już, aby zadawać zupełnie
inne pytania podstawowe? Dopóki
choć jeden człowiek na Ziemi dąży
do samobójstwa, możliwe jest —
nie tylko teoretycznie — samobój-
stwo całej ludzkości. Straciła zna-
czenie PRZESTRZEN: na Ziemi sta-

je się coraz bardziej znikoma; w
Kosmosie — absurdalnie rozległa, a
ponadto — szaleńczo rozbiegająca
się we wszystkich kierunkach na
raz. Czas przestał istnieć — ZDA-
RZENIA są tak stłoczone, że utra-
ciła sens wszelka ich ciągłość. Roz-
sypuje się w naszych dłoniach sta-
ry logiczny łańcuch następstw i
przyczyn. Dwukrotnie w dwudzie-
stym wieku Europa nie chciała woj-
ny, a miała ją. Żyjemy w epoce co-
raz bardziej natężonej JEDNO-
CZESNOŚCI: wszystko JEST i ZDA-
RZA SIĘ równocześnie, nawet ka-

tastrofy lotnicze, trzęsienia ziemi i
zamachy bombowe w różnych punk-
tach naszego globu. Nawet różne
epoki cywilizacyjne (od wspólnoty
pierwotnej do hipissowskiej komunę),
historia i prehistoria istnieją na Zie-
mi w JEDNOCZESNOŚCI: Pierw-
szego, Drugiego i Trzeciego świata.
Dawniej były tylko... dwa światy:
„Ten” i „Tamten”. Strach lub chci-
wość czyniły nas podłymi. Im wię-
cej było na Ziemi chciwości i stra-
chu, tym więcej — nieprawości i
zbrodni. Dzisiejsza JEDNOCZES-
NOŚĆ czyni nas BEZRADNYMI. W
życiu nie ma już poezji. Są kompu-
tery, produkcja i polityka. Ale tak-
że i w poezji jest coraz mniej życia.
Coraz częściej poematy umierają już

w chwilę po napisaniu. Poezja pol-
ska — chyba tylko ona potrafiłaby
na tę totalną (i upiorną) jednocze-
sność spojrzeć z WYZYŃ — z zew-
nątrz, albo może z DEPRESJI, to
znaczy — od wewnątrz — ponieważ
jest niemal pośrodku owej jedno-
czesności zdarzeń i epok. Poezja
polska ma możliwość być zatem
najbardziej WSPÓŁCZESNA ze
wszystkich literatur narodowych.
Nobel dla Polaka wcale nie był
przypadkowy, był konsekwencją Je-
go możliwości PATRZENIA. Ale błę-
dem byłoby zbyt uparte pragnienie,
aby pisać DOBRZE. Pisać „dobrze”
to w poezji znaczy — pisać „śred-
nio”.

WIESŁAW KAZANECKI

11

KONTAKTY
1 II 1981

Jest najpiękniejsza ze wszystkich

Na podłodze stopy nie doczytanych książek.
Wiersz, który powrócił nagle z pielgrzymki do źródeł snu,
zmieniony nie do poznania.
Papieros dogasa w dłoni,
zapomniany.
Zdarzenia, o których pamiętam, nie mają nic wspólnego
z rzeczywistością.
Widzę kokardę dymu we włosach
dziecko, które zabawia się lalkami.
Między biletami do wieczności
wysypują się z koszy zużyte prezerwatywy.
Stamtąd ucieka nasze życie.
Wojsko i żandarmeria wydobywani są spod ziemi
jak węgiel.
Import tego surowca nazywa się obroną interesów.
Eksport tego surowca nazywa się obroną ojczyzny.
Burzyciele pomników podnoszą kwalifikacje na placach
irańskich miast.
Zawód przechodzi z ojca na syna.
Losy poezji znajdują się teraz w rękach burzycieli
pomników.
Nieśmiertelność jest coraz gorzej widziana.
Przeglądam się obrazom zawieszonym na twarzach.
Maskom bladeńskim.
Maskom mędrców.
Maskom zakochanych.
Słyszę wołanie o pomoc.
Poezja Ezry Pounda rozpoznała mnie w tłumie.
Jest najpiękniejsza ze wszystkich.



Leszek Bakula — poeta i prozaik
— od lat zamieszkuje w nadmorskiej
Uście. Urodził się jednak oraz lata
przedwojennej dzieciństwa i oku-
pacyjnej wczesnej młodości spędził
w Ostrołęce. Kiedy zaczynała się
wojna 39 roku, miał lat dziewięć,
kiedy się kończyła — czternaście.
Był to więc okres w życiu dziecka,
kiedy umysł jest najbardziej wrażli-
wy i chłonny, a równocześnie świat
marzeń nieustannie przeplata się ze
światem realiów i wydarzeń, któ-
rych jest się na równi uczestnikiem
co i obserwatorem. To splatanie się
realiów z fikcją, wydarzeń rzeczy-
wistych z marzeniami oraz opowie-
ściami wyrosłymi na fantazji, a re-
lacionowanymi jedynie sobie powo-
duje, iż z czasem, po latach, okres
dzieństwa i wczesnej młodości ja-
wi się zawsze jako niepowtarzalny
w swej istocie i pięknie cudowny
świat.

I taki właśnie świat realiów i fik-
cji, wydarzeń rzeczywistych i zmyś-
lonych, wspomnień i marzeń, wy-
kreował Bakula w swojej powie-
ściowej trylogii „Czerwony bór, Czarny
bór, Biały bór”, którego dwie pier-
wsze części ukazały się w oddzielnych
wydaniach książkowych przed kilku
laty. Kreślił Bakula tę swoją opo-
wieść o latach wojny i okupacji z
autopsji, wpisując w nią niewątpli-
wie własne przeżycia i doznania, jak
też zapamiętane obrazy wydarzeń z
czasów wojennego dzieciństwa. Nie
oznacza to jednak, aby trylogię tę
traktować można było jako wierny
zapis autobiograficzny. Zresztą, au-
tor na plan pierwszy wysuwa chęć
oddania okupacyjnego klimatu zie-
mi nadnarwiańskiej, tyle że nie rze-
czywistego, ale zapamiętanego przez
dziecko, przeżywanego przez kilku-
nastoletniego chłopca. A ten ogląd
musiał się zasadniczo różnić od oglądu
dorosłych, którzy w pełni zdawali
sobie sprawę z grozy tej rzeczywisto-
ści. Dla dorosłych też, zarówno
wreszcie 39 roku jak i wszystkie
późniejsze lata panowania okupa-
nta hitlerowskiego, nie miały w so-
bie nic z przygody, a jedynie za-
wierzały nieustanne widmo ter-

roru, gwałtu i śmierci. W przypadku
naszego bohatera natomiast, wszyst-
ko nabiera wartości przygodowych,
gdzie wydarzenia życia wojenno-oku-
pacyjnego idą w parze z przed-
wczesną inicjacją seksualną. Ocena
obiektywnych wydarzeń ulega też
nieustannej deformacji poprzez ich
relację w kontekście młodzieńczych
marzeń.

Tylko że właśnie dopiero ten
świat zbitki realiów i marzeń, poz-
wala nam prześledzić psychiczny
portret bohatera, jakże bogaty i
skomplikowany, a równocześnie
świadczący o niesłychanej wrażli-
wości i wyobraźni młodego chłop-
ca. Narrator, relacjonujący po la-

cam, aby samotnie zginąć w dru-
gim roku wojny na przedpolach
Ostrołęki. Realne też są przygody
naszego bohatera, który najpierw
pracuje u kowala, potem bawiać się
z kolegami w wojsko i wojnę, stacza
bitwę na drewniane miecze oraz ka-
mienię z chłopcami niemieckich ko-
lonistów. W konsekwencji musi u-
chodzić z Ostrołęki i aby nie zostać
wywiezionym na roboty do Rzeszy,
ukrywać się w niedalekiej kurpiow-
skiej wsi, gdzie znowu realną jest
jego, co prawda już nie pierwszą,
ale za to spełnioną erotycznie miłość
do najpiękniejszej gospodarskiej
córki Olesi. Ten łańcuch realnych
zdarzeń, wiodący naszego bohatera
przez liczne tarapaty i dostarczają-

kolorytu i znaczeń. I to do tego stop-
nia, że aż trudno jest rozdzielić ten
wspaniały, choć czasami jakże oku-
rutny, świat wyobraźni od świata
realnych zdarzeń, w których nieste-
ty nie ma powtórki z raz rozegra-
nych sytuacji, nie zawsze korzyst-
nych dla bohatera. Tylko że tę prze-
graną w świecie realnych zdarzeń,
rekompensuje nasz bohater sobie
natychmiast wspaniałymi wydarze-
niami rozgrywającymi się wyłącz-
nie w jego wyobraźni.

Jak już zaznaczyłem, wszystkie
wydarzenia rozgrywające się za-
równo w świecie rzeczywistym jak
i w świecie fikcji, zostały mocno o-
sądzone w realiach wojenno-okupa-
cyjnej Ostrołęki i jej kurpiowskich
okolic. Opisane zostało to nadnar-
wiańskie miasteczko z wręcz topo-
graficzną dokładnością uchwyconą
na całe życie przez pamięć dziecka.
Stąd może, kiedy Bakula osadzony
już mocno w nadmorskim pejzażu,
zatemnił jednak za nadrzecznym
widokiem Narwi z lat dzieciństwa,
musiał napisać tę jedyną w swoim
rodzaju, pełną wojennej grozy, a
równocześnie liryzmu opowieść o
wydarzeniach, których był świad-
kiem, lub które sobie wymarzył. I
pozostała też w pamięci pisarza już
nie bohatera-narratora, ale własna
najwspanialsza litania do rodzinnej,
wiecznie z latami dzieciństwa zwa-
żanej rzeki: „Narwio, rzeko moja.
Granico mojego życia. Ocal mnie
raz jeszcze. Narwio czarna, Narwio
zielona, Narwio czerwona od krwi,
Narwio bez dna. Narwio utopio-
nych. Narwio spragnionych. Narwio
mojego ojca i matki. Narwio mo-
stów spalonych. Rzeko mojego dzie-
ciństwa. Narwio mojej miłości, nie-
jednej i tej śmiesznej i smutnej.
Narwio narwista, wodorostów peł-
na. Narwio zalewająca łaki pełne
kaczek. Narwio przepływająca
przez łany wiklin. Narwio pełna lilii
wodnych. Narwio święta”.

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Narwio, rzeko moja...

tach swoje okupacyjne przygody w
Ostrołęce i Myszyńcu, te na równi
autentyczne co i zmyślane, czy jak
woli sam bohater — prześnione, ma-
niomało kłopotu z rozdzieleniem fik-
cji od prawdy, wydarzeń ze świata
realnego od zdarzeń kreowanych
przez dziecięcą, niespokojną wy-
obraźnię. Stąd przeplatają się nie-
ustannie ze sobą niesłychanie reali-
styczne w opisie sceny z kampanii
wrześniowej, okupacyjnego codzien-
nego życia w Ostrołęce, działalności
partyzantki, z fikcyjnymi w swej is-
tocie wydarzeniami ze świata dzie-
cięcych marzeń, których oczywiście
zawsze głównym bohaterem jest
sam narrator.

W świecie realnym rozgrywa się
tragiczna w skutkach miłość pary
kochanków — ułana Kwiatka i gos-
podarskiej dziewczyny Jadwigi z
nadarwiańskiej wsi. Tragiczna, bo
ułan wierny honorowi oficera, do
końca, niczym legendarny choć nie
fikcyjny bohater — z hitlerow-
cami, aby samotnie zginąć w dru-

cy przedziwnych przygód, jest nie-
słychanie długi i w istocie swej
obrazujący nie tylko jednostkową
biografię chłopca, którego świad-
omość kształtuje okupacyjna rzeczy-
wistość, ale również i całą gehennę
ludności Ostrołęki i jej okolic.

Ale właśnie na te zdarzenia, wier-
nie relacionowane przez Bakulę, na-
kładają się, a ściślej na zasadzie lu-
strzanego odbicia rozgrywają się
zdarzenia wykreowane przez wy-
obraźnię bohatera. Niektóre z tych
wydarzeń stanowią jakby odwróce-
nie rzeczywistej sytuacji, będąc je-
dynie projekcją nigdy niespełnion-
ego marzenia chłopca o bohaterstwie
i odwadze — o sukcesach odnoszo-
nych w fikcyjnie staczanych nie-
ustannie bitwach z hitlerowcami. W
marzeniach inaczej jawią się kolej-
ne miłości, seksualne inicjacje, cały
ciąg doznań i przeżyć związanych z
pójściem do partyzantki. Jakże w
tym świecie fikcji i marzeń wszyst-
ko nabiera innych kształtów, innego

ŁOMŻYŃSKI
KLUB
LITERACKI



GENIUS LOCI

Mam raczej chłodny stosunek do telewizji. Nie może zastąpić teatru, kino z pewną trudnością, nie mówiąc już o książce. Co więcej, tematy intelektualne wypadają w niej też nie najświetniej. Wiem coś o tym, bo sam od czasu do czasu mówię w TV o różnych rzeczach i rzadko się zdarza, aby ktoś zanierował się o czymś mówię — zwraca się uwagę na krawat, na brodę, na przyszczy na nosie ale nie na istotę rzeczy. Są jednak wypadki gdy telewizja jest rzeczywiście niezastąpiona. Amerykański teoretyk McLuhan uważa, że pojawienie się telewizji znowu zbliżyło ludzi, że stworzyło „światową wioskę” w najlepszym tego słowa znaczeniu. Otóż, to właśnie wydawało się zawsze nieco wątpliwe. Nie czuło się wcale bliskiej i serdecznej łączności z ludźmi telewizyjnego programu. To byli „oni”.

Z jednym wszakże ciekawym wy-

jątkiem. Otóż w czasie wielkich zawodów sportowych — a najbardziej w okresie piłkarskich „mundiali” telewizja z nagłą zaczynała żyć naprawdę. Stawała się rzeczywistym łącznikiem między ludźmi. Wynikało to w znacznej mierze z aktualności tematu. Ale nie tylko. Otóż, w czasie zawodów nie sposób było wszystkiego nagrać z góry na taśmę, uładzić, oczyścić z wszelkich wątpliwości i wdzięcznie przykra-

nie tylko niczego nie wykrztusił, ale wręcz zabrudził spodnie. Było to co prawda dość dawno temu i w tej chwili ludzie nieco się z TV oswoiili. Mnie osobiście w ostatnich latach zdarzało się mówić raczej do taśmy, natomiast „na żywo” mówiłem w radio — jest to o wiele przyjemniejsze, bardziej dopingujące, czuje się rzeczywiste kontakty ze słuchaczem. W tej chwili „na żywo” idzie wiele dyskusji. I zniechęca to, co

szłością wróciło nam godność, jak gdyby odmieniło świat dookoła. Telewizja jest tylko wyrazem tych zmian, ale jakże istotnym. Ukrywane przez wiele lat nadużycia, tłumiona w nieskończoność gorycz eksploatacji wreszcie. Ludzie odzyskali (czy może są w trakcie odzyskiwania?) twarz. I jak się zdaje woleliby zginać niż ją ponownie stracić. Jest to możliwe właśnie między innymi dlatego, że przestaliśmy się czuć samotni i izolowani. Udział środków masowego przekazu jest tu ogromny. Z wyjątkiem, niestety, prasy, bo jej na ogół po prostu nie można dostać. Przy czym jest tu jedna jeszcze istotna sprawa: nie wystarczy samemu mieć gazetę, trzeba mieć poczucie, że także inni zdobyli ją i przeczytali. Inaczej nie ze wspólnoty problemu. A przecież największym powołaniem radia i telewizji (no i prasy) jest w tej chwili łączyć nas, przemieniać we wspólnotę.

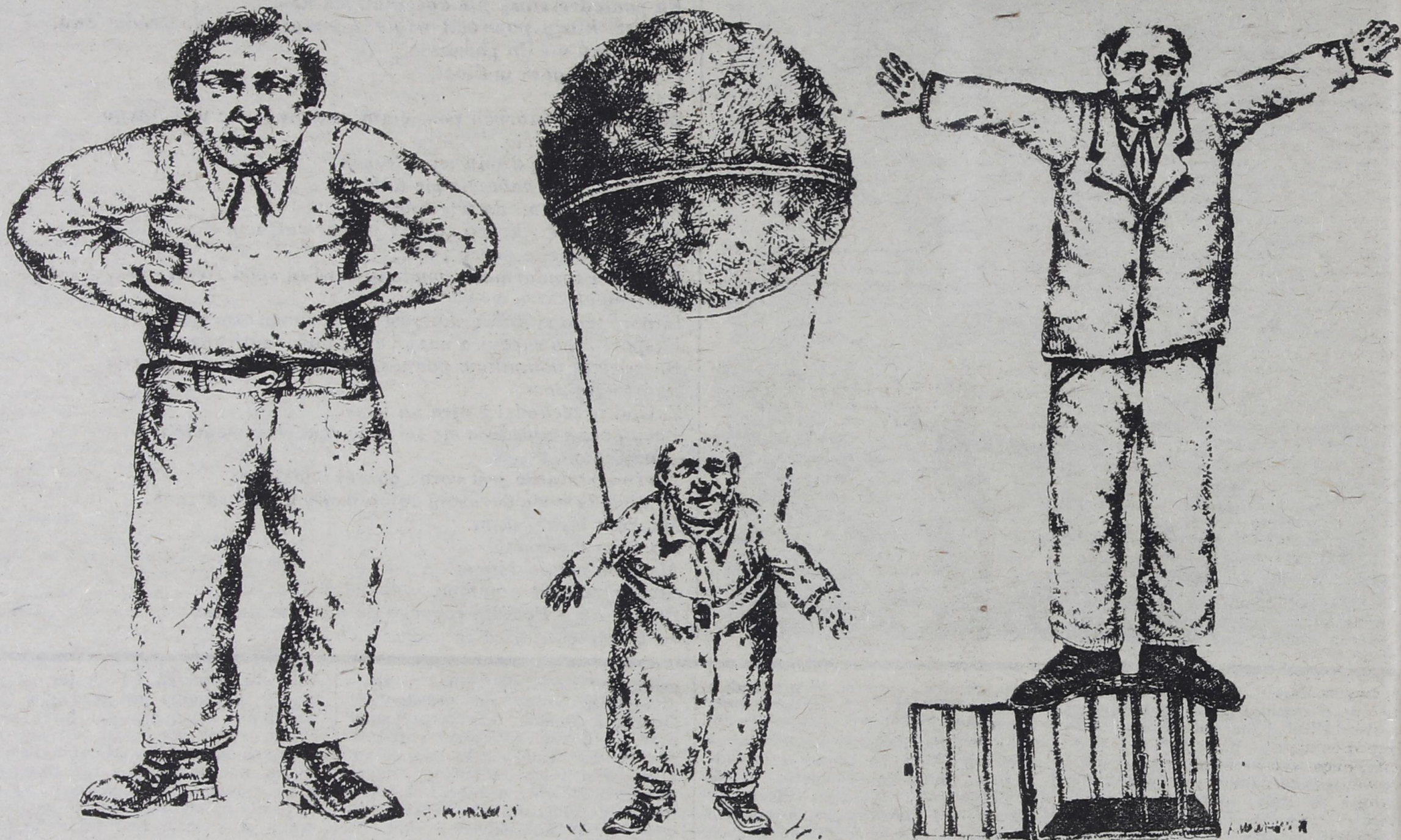
PIOTR KUNCEWICZ

przemiana

jać. Naprawdę dzwoniły telefony, naprawdę na nie odpowiadano. W ogóle, program idący „na żywo” jest znacznie lepszy od nagranych wcześniej. Ale i o wiele trudniejszy dla uczestników. Żadna inna forma kontaktu z ludźmi nie wyzwała tak niehumanitarnej tremy. Słynna była w TV historyjka o tym, jak pewien niezwykle bohaterski dowódca partyzancki postawiony przed kamerą,

było nędzną gadaniną stało się atrakcyjne — nawet jeszcze bardziej niż ongiś sprawozdania piłkarskie. I taka telewizja rzeczywiście łączy ludzi, jest ich prawdziwą trybuną, prawdziwym głosem.

Naturalnie, to nie tylko forma przekazu. Po prostu zaczęto mówić wiele prawdy. I to właśnie mimo wszystkich trudności aprowizacyjnych, wszystkich lęków przed przy-



Rysunki Antoniego Kowalskiego

O wstydzie, jak o wszystkim w zasadzie, można myśleć różnie. Można więc widzieć wstyd jako zjawisko dające się wytłumaczyć w sposób naturalistyczny; taki, w jaki tłumaczy się wszelkie fenomeny świata zwierzęcego. Tak właśnie pojmował wstyd Karol Kautsky, dla którego wstydlivość, wraz z jej aktywną formą, tj. zawstydzeniem, redukuje się do obszaru seksualnego. Wstyd w tym rozumieniu dotyczy sfery narządów płciowych człowieka, co tłumaczy się zdaniem Kautskiego tym, że narządy płciowe były wcześniej jeszcze, nim zaczęły wstydzic, osłonięte przed niebezpieczeństwami zewnętrznymi. Właśnie zwyczaj osłaniania się musiał poprzedzić pojawienie się wstydlivości; tam, gdzie tego zwyczaju nie ma, np. wśród niektórych szczepów pierwotnych czy u ludów zamieszkujących tereny tropikalne, nagość nie stanowi bodźca zdolnego wywołać jakiegokolwiek emocje. Ba, jest nawet przeciwnie: wśród nagusów wstydzic się będzie, a w każdym razie powinien ich zdaniem, właśnie człowiek kompletnie odziany; wyobraźmy sobie urzędnika w garniturku i z teczką na plaży nudytycznej — czy człowiek ten będzie się czuł tam pewnie w swym ubraniu: atrybucie dającym jedynie pewność za biurkiem?

Sam zwyczaj osłaniania narządów płciowych bierze się, zdaniem Kautskiego, z powodów bardzo prozaicznych. Zaczęto je mianowicie osłaniać w obawie przed zagrożeniem zewnętrznym. Nie musi te-

go robić zwierzę, u którego narządy płciowe chronione są w sposób niejako naturalny, dzięki bardziej celowemu ich usytuowaniu (chroni je jak gdyby samo ciało zwierzęce). Tymczasem człowiek stojąc na dwóch nogach jest w daleko gorszej sytuacji; wszystkie jego wrażliwe części ciała (piersi, narządy płciowe itp.) znalazły się, jak to określa Kautsky, „w miejscu zupełnie nie chronionym, bez żadnej osłony z przodu, wystawione na wszelkie uderzenia i ciosy”. Zaczął więc człowiek „osłaniać te narządy. Z biegiem czasu stało się to zwyczajem, no a nie czynić za- dość zwyczajowi — to już wstyd.

Inaczej spojrzalby na problem

motnienia, przeczcucia własnej osobowości czy wyjątkowości — i nie musi się to bynajmniej wiązać z poczuciem winy, choć prawda, że z reguły wstyd i wina stanowią mariaż widoczny i — sądzi się — konieczny. Związek wstydu z samotnością opisuje „Księga Rodzaju”, gdzie mowa o naszych prarodzikach: kiedy spożyli zakazany owoc „sposztrzegli że byli nadszy i zawstydzili się”. Zawstydzili się, interpretuje ten biblijny mit E. Fromm, gdyż zdali sobie raptem sprawę z tego, że — będąc tylko we dwoje — są na dodatek i tak osobni: on — mężczyzna i ona — kobieta. Sposztrzegli własną odmienność i odrębność, gdy ujrzeli swą

od zła; wtedy też poczuli swą ludzką odrębność płciową, wstyd itd. Powstanie wstydu łączy się więc wyraźnie z powstaniem moralności — oto wniosek, dla którego chociażby warto było sięgnąć do Biblii.

Czy rzeczywiście jest tak, że wstydzimy się wtedy, kiedy coś wartościujemy i oceniamy moralnie? Czy wstyd, jaki zdarza nam się przeżyć, łączy się z poczuciem osamotnienia?

A czy może być inaczej? „Wstydzę się” — mówi matka do syna, który zbroił, to znaczy, kiedy zrobił coś, co stanowi odstępstwo od ogólnie przyjętego sposobu postępowania, od ogólnie akceptowanych wartości; gdy to dziecko jest w tym sensie „samo”. I wtedy ono się rzeczywiście wstydzi, tylko wtedy. Nawet gdyby była tych nieznośnych dzieci cała gromada, a wstydzic się kazalby tylko jedna osoba, nauczycielka — i tak wiedzieliby, że są w swej grupce jednak wyjątkiem wobec norm, jakie uznaje całe społeczeństwo, reprezentowane tu przez nauczycielkę.

Polityk, kiedy jest sam w społeczeństwie, w obrębie którego sprawuje władzę, kiedy stanowi wyjątek w stosunku do wartości, jakie w tym społeczeństwie „żyją” — czy ten polityk powinien się wstydzic? Zapewne, pod warunkiem jednak, że potrafi myśleć w kategoriach moralnych — bez tego wstyd będzie niemożliwy. Dlatego też z reguły politycy nie wstydzają się; raczej żałują tego, co stracili.

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

wstyd

wstydu ktoś, kto chce widzieć człowieka i wszystko co człowieka dotyczy w obszarze różnym jakościowo od obszaru zwierzęcej biologii. Człowiek jest tu już inną jakościową aniżeli pozostałe istnienia żywe, dlatego — by zrozumieć ludzkie przypadłości — trzeba stosować tu jemu tylko, człowiekowi, właściwą miarę. Wstyd, gdy popatrzyć nań przez pryzmat specyficznie ludzkich doświadczeń, ujawnia treści nie muśnięte nawet przez biologizującego naturalistę, jakim był na przykład Kautsky.

Jakie są to treści; czym w swojej najgłębszej istocie jest wstyd człowieka?

Jest każdorazowo wyrazem osa-

nagość. Jest to myśl odwrotna do tej, jaką wyraża Kautsky: to nie widok samej nagości (genitaliów) wywołuje wstyd u Adama i Ewy; ten stary mit, zdaniem Fromma, nie może zawierać w sobie wiktorianskiej prudencji. Nagość jest za ledwie czymś, co ujawniło rzecz właściwą i straszną: Adam i Ewa są samotni, są inni, każde z nich jest samo. Dlatego się zawstydzili.

Nie można tu jednak zapomnieć o czymś ważniejszym bodaj od samotności i jej związku ze wstydem. Adam i Ewa poczuli się samotni („nadszy”) potem, jak zjedli owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego. Złamali zakaz Boga i odtąd już sami będą musieli odróżnić dobro



Drzwi otwarto pospiesznie. Wchodzi Lucyna i Jerzy:

— Dzień dobry państwu. Pani Heleno. Czy nie zastaliśmy Adama?

PANI HELENA: A właśnie i ja chciałam zapytać o Adama.

MAKS: Adama w samej rzeczy nie ma w domu.

LUCYNA: A kiedy wróci?

MAKS: Na dobrą sprawę powinien tu być już od godziny. Ja również czekam na niego. Ponieważ jednak jestem z zawodu nierobem, dlatego wykorzystuję ten czas oczekiwania na bezpłodne roztrząsanie o człowieku wymiennym i niewymiennym.

JERZY: Jakim — przepraszam?...

MAKS: ... niewymiennym...

MAŻ PANI HELENY (przerzywa): Skoro jednak pan Adam nie nadchodzi, my może wstąpimy tu za jakąś godzinę.

PANI HELENA: Uważam, że słusznie. Spodziewam się, że pan Adam zjawi się w ciągu tego czasu, a panowie będą mieli sposobność odróżnić ostatecznie człowieka wymiennego od podmiotu żywiołowych przemian...

MAKS: Nie jest to bynajmniej wykluczone. I owszem, sam ów podmiot zjawi się zapewne lada chwila w stanie bezwzględnej niewymienności, nieprzystępny żywiołom. Wtedy osądzimy go na miejscu, zobowiązując oczekiwać państwa.

MAŻ PANI HELENY: Dziękuję (wychodzą).

LUCJAN: Panowie w końcu zarzucicie...

MAKS: Bynajmniej.

LUCJAN: A mnie rzeczywiście dość trudno odnaleźć Adama.

STANISŁAW: Powiedz, Maks, czy Adam ma talent?

MAKS: Jestem głęboko przekonany.

JERZY: Hm... to nie jest znowu tak bardzo oczywiste. To coś innego. Pojęcie „talent” nie wyraża tego, o co chodzi u Adama.

STANISŁAW: Więc co?

LUCJAN: Określiłbym to w taki sposób: Adam ogromnie wiele spraw powtarza sobą, a potem skutki tego zaznacza na płótnie. Uważacie, panowie? Moim zdaniem — to nie jest typowy malarz. Zechciejcie zrozumieć tę różnicę. Każdy z was właściwie doszukuje się na płótnie różnych możliwych i kolejnych rozwiązań swego życia; wasze życie rozgrywa się, toczy się na płótnie. I dlatego wy nie możecie pojmować życia inaczej; wy jesteście związani z płótnem, uzależnieni od palety — Adam inaczej. U niego potrzeba płótna i farb wlece się z daleka za jego najgłębszym żywiołem. Zwraca się do nich niemal z niechęcią, niemal z lekceważeniem, bo mimo wszystko pojmuje je jako środki i jako takie są mu potrzebne. Ale to wszystko. Stosunek jego do rzemiosła jest daleko luźniejszy, jest daleko bardziej niezależny. Zasadniczo żyje w sobie, rozwija się i kurczy w sobie, nie na płótnie. Nie, nie. To nie jest typowy malarz.

JERZY: Ciekawe...

STANISŁAW: A zatem — kto?

LUCJAN: To jest raczej typowy poszukiwacz. I to nie szperacz centusowy. Poszukiwacz z rozmachem, bodajże poszukiwacz zawiadziaki.

JERZY: Jakkolwiek bądź, wszyscy godzimy się na to, że ostatnimi czasy bardzo się zmienił.

MAKS: Opowiem wam zdarzenie. Było to może tydzień temu. Przyszedł tutaj Lubacki, no wiecie, ten gruby kupiec, krezus w tutejszym stylu. Chodziło o portret. Adam zaczął mu wykladać swoje nowe teorie o wzajemnej odpowiedzialności. Jednym słowem, otworzył wszystkie grube sakwy naszego bogacza i starał się przekonać go, że wszyscy nędzarze ze Zwierzynicy i Krakowskiej mają prawo do jego zasobów. Tamten starał się sprawę pokrywać żartem, potem uprzejmością, wreszcie innymi wybiegami. Ale Adam był nieublagany. Oczywiście to wszystko działało się w rozmowie. Niemniej, owi dwaj panowie nie rozstali się w usposobieniu wzajemnej wyrozumiałości.

STANISŁAW: Nawet dość trudno pomyśleć, aby z mistycznej palety Chmielewskiego mogło spłynąć pełnowartościowe podobieństwo bogacza...

brat naszego Boga

KAROL
WOJTYŁA

JERZY: Chyba jakiegoś bogacza z ewangelii. W istocie jest tu dość znaczna odległość.

MAKS: Sądziś zatem — lepiej dla niego, że nie został odmalowany. Ha, ha... to nieco zabawne. Ale Adam, Adam...

(pukanie do drzwi)

MAKS: Wejść!

WOŻNY Z RADY MIEJSKIEJ: Mieszkanie pana Chmielewskiego?

MAKS: Chodzi o Adama?

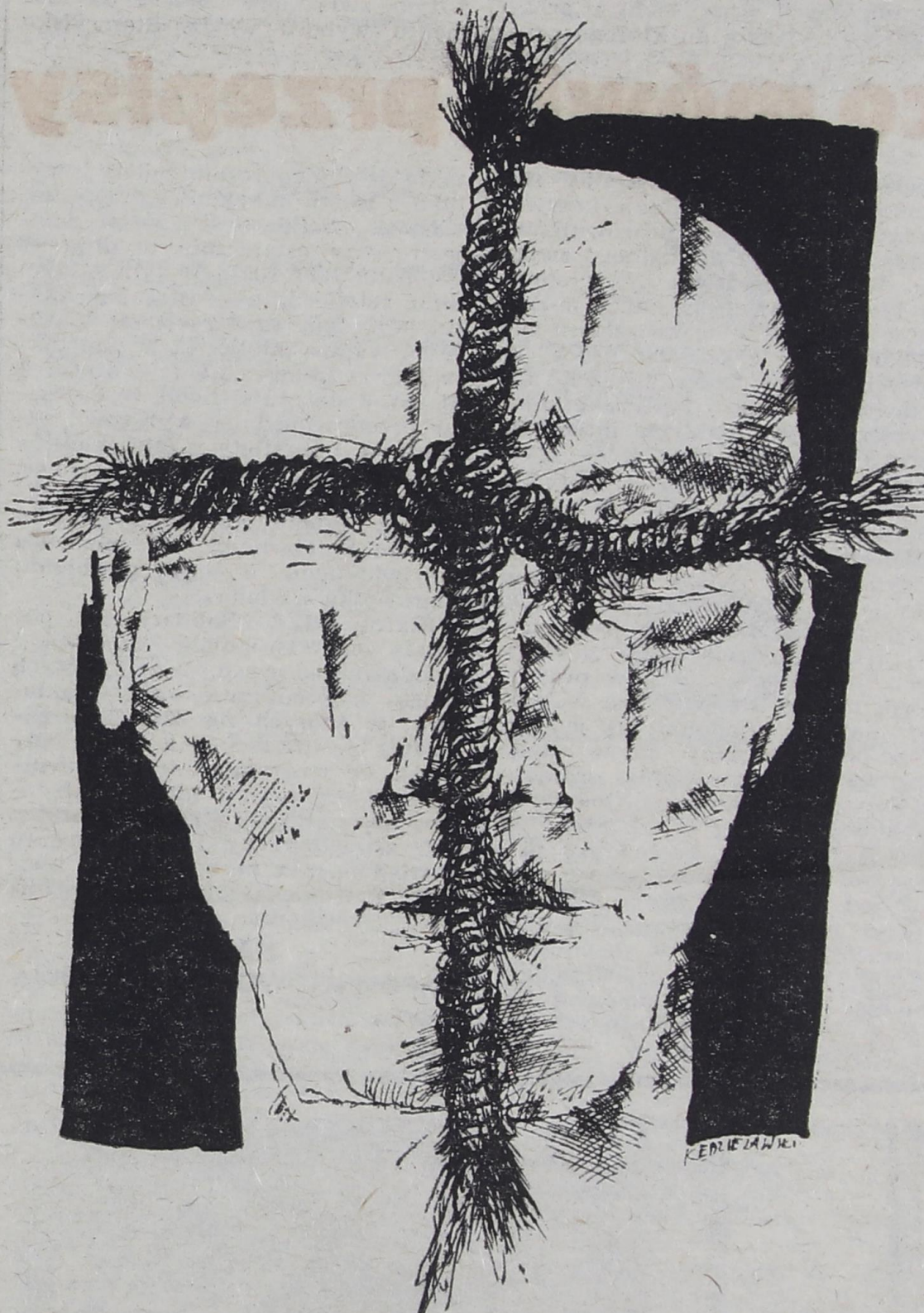
— Adama.

— Nie zastaje go pan w domu. A w jakiej sprawie?

— Jest tu zawiadomienie od naczelnika wydziału opieki społecznej.

skiej deszcz ze śniegiem zaczął dojmująco przycinać, zerwał się przy tym wiatr i wnet sygnęło nam w oczy gęsta, wilgotna kurzawa. Ktoś powiedział, że trzeba przeczekać. Wchodzimy do pierwszej lepszej bramy. Adam, jak zwykle, zniecierpliwiony, zaczął myszkować koło klamki. Nagle drzwi ustąpiły bez trudu. Wszyscy mimo woli cofnęliśmy się w głąb. Przestrzeń była ogromna, półmroczna, kilka zaledwie kropel światła kapalo od jednej i drugiej naftowej lampy wiszącej u stropu, zatrzymując się w połowie wysokości sali. Dno samo leżało w mroku.

Pamiętam wtedy Adama. Posunął się z wolna naprzód, jeden, drugi krok... wszedł w tę mroczną prze-



Rysunek Stanisława Kędziawskiego

— Aha, dobrze. Wręcę panu Chmielewskiemu, skoro tylko powróci. Tymczasem mogę pana poufnie zapewnić, że opieka społeczna napylała sobie groźnego inkwizytora.

— Co to znaczy: inkwizytora?

— To znaczy: takiego pana, który będzie jej chodził mocno po piętach.

— Nie wydaje mi się znowu tak łatwą rzeczą chodzić po piętach panu naczelnikowi opieki społecznej. Chyba sam pan prezydent miasta.

— Sądzi pan? No zobaczmy, o ile trafny był pański sąd. Tymczasem do widzenia.

(Woźny po przepisowym ukłonie wydała się, zamykając za sobą drzwi).

LUCJAN: Domyślam się przyczyny tych odwiedzin.

JERZY: No...

LUCJAN: Nie, jednak Adam stanowczo jest opanowany, jest wzięty. No rozumiecie — posiadał go.

MAKS: O tak, i to mocno.

LUCJAN: Tuszę, że znam początek tego ciągu. Bo uważacie, to jest ciąg, to narasta z pewnym przyspieszeniem. Otóż, było to kiedyś podczas ostatniej zimy lub raczej na przedwiośnie. Wracaliśmy od hrabiego Z. Było nas kilku: Leon, Stefan, Adam i ja. Gdzieś na Krakow-

strzeń. Staliśmy wszyscy przy drzwiach. Słyszałem na posadze jego kroki. Nie stapał po deskach, było to raczej klepisko udeptane i twarde. Powoli i nasze oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Zobaczyliśmy wtedy szereg przyzłych lub raczej po prostu legowisk ze słomy rzuconej na jakieś deski, na ich brzegu przycupnęli ludzie. Siedzieli, leżeli, kołysali się, z kolanami wysoko pod brodą złożeni jak kadłub raka; palili papierosy, grali w karty, rozmawiali półgłosem. Gdzieś z kąta ktoś awantuował się o miejsce. Byli mężczyźni i niewiasty.

W tym wszystkim najgłębsze wrażenie czynił głuchy pogłos stóp Adama. Szedł on między rzędami legowisk, jakby przyciągany nieznana siłą; szedł, szedł, od jednego do drugiego. Zdjął swój szeroki kapelusz i niósł go w ręce, mnąc na piersiach. Potem już prawie nie było widać jego postaci, słyszałem tylko ten krok, dudniący w mroku o grzewalnię, jakby spadł z bardzo wysoka. Tak szedł, zapewne przeprowadzany niektórymi oczyma, to z nienawiścią, to znow z ciekawością, jak ktoś zabłąkany, kto po raz pierwszy szuka schronienia w tej norze.

Potem wrócił ku nam. Wyglądał strasznie. W słabym świetle kaganka twarz miał jakby ulaną z zielonego wosku. Wielkie oczy przerażo-

ne. Broda i włosy, zmoczone, dopełniły wyrazu.

Pamiętam, powiedziałem mu: Adam, deszcz ustał, możemy pójść. Wyszedł z nami bez słowa.

Nikt nie odważył się powrócić rozmową do wspaniałego wieczoru w domu hrabiego Z. Wszyscy wy-czuli tę przepaść...

STANISŁAW: A cóż Adam?

LUCJAN: Adam nie powiedział nic do końca Grodzkiej. Pożegnaliśmy się również bez słowa. To w jego stylu. Ale teraz wziął na warsztat. To też w jego stylu.

STANISŁAW: Wziął na warsztat?

LUCJAN: O tak, przetwarza sobą.

STANISŁAW: Cóż z tego wynika? Jakiś nowy okres twórczości?

LUCJAN: Nie wiem. Powiedziałem wam, co sądzę o twórczości Adama. Powiedziałem wam, co sądzę o Adamie.

MAKS: To pewne, że odtąd przestał należeć do siebie, przestał należeć do swojej sztuki. Maluje ukradkiem i jakby przypadkowo. Czasem po pięciu minutach rzuca pędzel i patrzy bezmyślnie na Wisłę. Jest wyraźnie roztrzęsiony. Usiłuję odnaleźć w nim to wszystko, co było dawniej, za czasów monachijskich, kiedy ten chłopak był dla mnie tak jasny, wręcz bez tajemnic, bez tych wszystkich wewnętrznych załamań, na których gromadzi się cień. I wiecie — nie mogę... Nie zdaję sobie sprawy, dlaczego, ale mam na tyle wyczucia, aby stwierdzić, że znajduje się w nim coś nowego, coś obcego, jakiś pierwiastek dla mnie nieprze-nikniony.

...(pukanie do drzwi)

MAKS: Proszę.

(Wchodzi Teolog i Starsza Pani).

TEOLOG: Przepraszam, czy zastaliśmy pana Chmielewskiego?

MAKS: Powinien nadejść lada chwila. Tymczasem gotów jestem służyć w jego zastępstwie.

TEOLOG: A więc mógłby nam pan pozwolić obejrzeć płótna pana Chmielewskiego? Moja matka przyjechała właśnie ze wsi, chciałbym pokazać jej jeden z ciekawych przejawów współczesnego malarstwa religijnego.

MAKS: Oczywiście, nie widzę żadnych przeszkód. Wiem, że Adam miał zawsze ten zwyczaj. Pracownia jego była dostępna dla wszystkich. Natomiast nie lubi wystaw.

TEOLOG: Dziękuję panom.

(Cofa się z matką w głąb i tam rozpoczynają oglądać obrazy, zmieniając czasami kilka słów szeptem. Z przodu rozmowa toczy się dalej).

MAKS: Więc powtarzam — pierwiastek nowy, niedostępny dla mej wnikiwości.

JERZY: Czy rzeczywiście nowy?

MAKS: Powtarzam, dla mnie nowy.

JERZY: Mógł być i dawniej, tylko nie dość wyrazisty, i dlatego nie stwarzał dla pana właściwego oporu. Mógł pan po prostu przenikać człowieka tak złożonego, wypelnionego tym samym, co pan, mógł pan swobodnie przechodzić przez niego...

MAKS: A teraz?

JERZY: Teraz to samo, poprzednio było w nim nie ujawnione, jakby zarównane w jego człowieczeństwie, to wszystko teraz wyrosło nagle, czy też inaczej — rozlało się jak cień planety w księżycu.

STANISŁAW: I dla twojego oka. Maks, dla twojego wprawnego, malarzkiego, nieomylnego oka — stało się nagle zaćmieniem.

MAKS: ... być może...

JERZY: (powraca do swych wywodów): Ale niech pan nie wyobraża sobie znowu jakiegoś przewrotu we wszechświecie. Nie, nie. To już dawno musiało w nim tkwić. Wszystko tkwi w człowieku. Trzeba tylko sił, które uwolnią coś dotąd nie znanego.

MAKS: Skąd są te siły?

JERZY: Nie wiem. Długo badałem podobne przejawy, długo szukałem w różnych ludziach... Nie wiem.

(C.D.N.)



MINI-KABARET PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Biebrzański, Buzański, Dojliski i Narwiański, siedzą, po raz któryś, na podłomżyńskich pulwach. Czasem są jakiegoś niezbyt wyraźnego. Ni to zima, ni to nie zima, śnieg niby jest, ale jakby go nie było. Mroz także nie za silny, choć i nie za słaby. Korytem Narwi płynie coś jakby woda, chociaż może jest to akurat lód. Nie widzieli się przez cały tydzień, więc teraz w podejrzanym milczeniu obserwują swoje diabelskie pyski.

DOJLICKI: Eeee... No więc, co u was słychać kolego Narwiański, nie trysnęło wam coś przypadkiem w ostatnim czasie?

NARWIAŃSKI: A niby co, mianowicie, miało trysnąć?

DOJLICKI: A bo ja wiem... może smółka jaka; albo przynajmniej smola? Wiecie, jak to jest, byłby jakiś temat do dogłębnego oraz analitycznego omawiania.

NARWIAŃSKI: Tematów wam brakuje?

DOJLICKI: Nie to, żeby zaraz brakowało... co ja wam zresztą będę mówił. Dziecko jesteście czy stary diabeł?

BUZAŃSKI: Prawdę mówiąc, na jedno to wychodzi. Im diabeł starszy, tym mu rozum bardziej dzieciennie. Za starych, dobrych czasów, znaczy kiedy byłem młodszy, wszystko pojmowałem, wszystko rozumiałem, a teraz ni w ząb nie rozumiem, co jest grane. Weźmy na przykład...

BIEBRZAŃSKI: Może lepiej będzie nic nie brać? Powiesz tak, a jutro wyjdzie, żeś powiedział nie. Albo odwrotnie.

NARWIAŃSKI: Diabeł z wami. Ja, otóż mianowicie, mam zamiar, w swoim, dobrze pojętym interesie, urządzić wam zaraz tutaj plenum.

DOJLICKI: Urządzić zawsze można. Chciałem wszakże zapytać, czy macie jakiś porządek dzienny albo przynajmniej coś takiego?

NARWIAŃSKI: Dajcie mi diabła, to ja porządek zawsze znajdę.

BUZAŃSKI: Podobna mi się wasza pryncypialność, choć was osobiście czegoś nie lubię. Walcie śmiało!

NARWIAŃSKI: Otóż i wale. Wnioskuje niniejszym likwidację diabłów. Na diabła komu takie diabły? Ani to konstruktywne, ani satysfakcyjne, ani wreszcie potrzebne.

DOJLICKI: Ejże, kolego! Sami siebie chcecie likwidować?

NARWIAŃSKI: A czy ja mówię, żeby zaraz siebie? Nikogo z nas nie biorę pod uwagę. Wniosek stawiam szczegółowy, a nie ogólny.

BIEBRZAŃSKI: Diabeł ze mnie poniekąd ciemny, ale chyba rozumiem, o co wam chodzi. Pozwólcie, że i ja coś zawnioskuje. Korki mi ostatnio wysiadły z powodu krótkiego śpięcia. Na pohybel im!

BUZAŃSKI: Korkom?

NARWIAŃSKI: Iiii... wstyd mi za was, kolego. Pewnie wam witamin brakuje w organizmie i stąd słabawa skojarzalność.

DOJLICKI: Popieram zdanie przedmówcy, aczkolwiek mam na tę sprawę zupełnie odmienny pogląd.

NARWIAŃSKI: I słusznie. Tak powinno właśnie być. Nie ma jak odmiennosć zdań przy całkowitym, wzajemnym popieraniu się!

BIEBRZAŃSKI: Popieram, choć się z tym nie zgadzam.

BUZAŃSKI: A ja nie popieram, ale się całkowicie zgadzam.

DOJLICKI: Co do mnie, to ja i jedno, i drugie. W ten sposób powstaje jednolity front. A co do tryskania, to powiedzcie prawdę. Nie wam ostatnio nie trysnęło? Bo ja, rozumiecie, bardzo chętnie ugasiłbym... pragnienie.

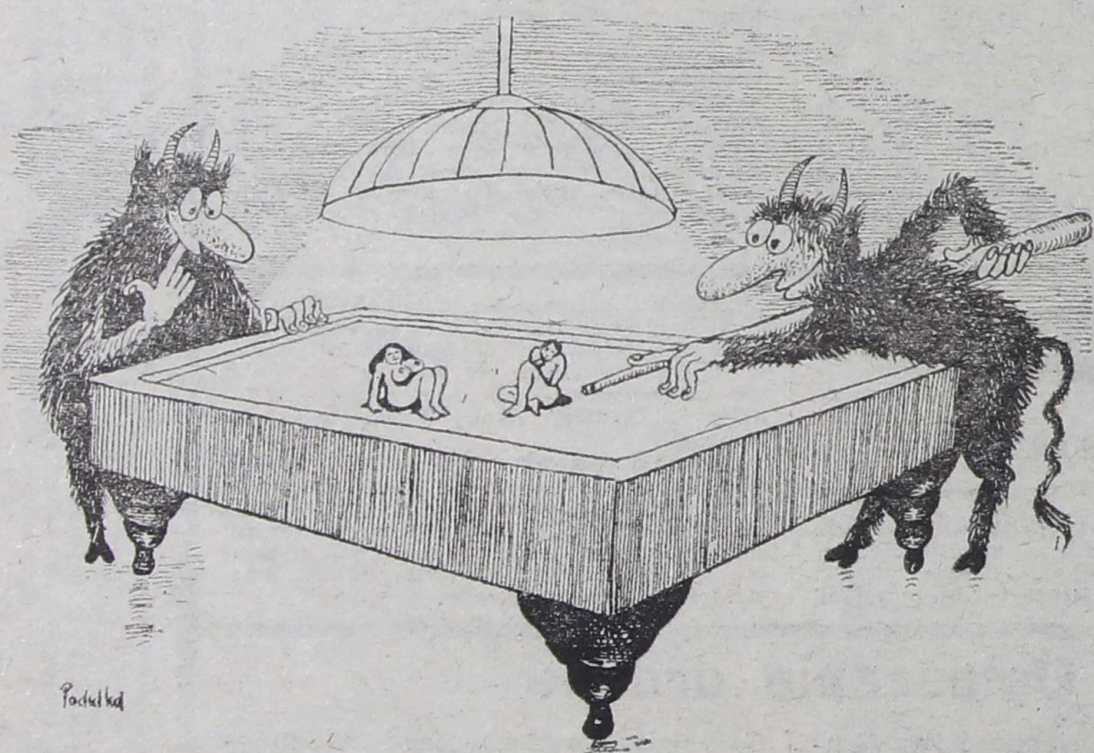
NARWIAŃSKI: W zasadzie nie widzę żadnych przeciwwskazań, pod warunkiem, oczywiście, że każdy będzie za siebie płacił.

DOJLICKI: Cóż to, gościnność starodiabelska wam ostatnio podupadła?

BIEBRZAŃSKI: Co zrobić, takie czasy!

NARWIAŃSKI: Żadne tam czasy. Dodatek głodowy za mały dostałem, ot i cała sprawa.

WIESŁAW TOMASZEWSKI



WYWARY WSPÓŁCZESNE

„Sztandar Młodych”, przypomina, czego nie ma w Łomży i okolicy. A więc nie ma szpitala wojewódzkiego, domu kultury, wojewódzkiej biblioteki publicznej, dworców PKS i PKP, przedszkoli, żłobków, domu książki i ośrodka zdrowia na miarę potrzeb. Slimaczy się budowa fabryki domów, zmniejszono nakłady na budowę i modernizację zakładu mleczarskiego w Wygokiem Mazowieckim, w słabym tempie buduje się łomżyńska piekarnia, a jeszcze wolniej masarnia — co można zrozumieć, bo co tu masować? Budowanie szpitala w Grajewie ma już krajową złą sławę, ale jest jeden fenomen — budowa zbiorczej szkoły gminnej w Grabowie. Tu stawia się porządnie i szybko. Szkopu w tym, że w okolicy nie znajdzie się tyle dzieci, żeby szkołę zapelnili choćby w połowie. Widocznie zależność jest

taka: tam gdzie budują, nie mają głowy do robienia dzieci i odwrotnie — jak choćby na osiedlu Jan-tar, gdzie jest już 10 tys. mieszkańców i nie ma ani jednej szkoły.

—◇—

„Trybuna Ludu” dodaje, że w Łomży nie ma także budynku administracji Zakładu Energetyki Ciepłej, który spłonął już pierwszego świątecznego dnia, ani chybi z przegrzania.

—◇—

Reporter „Kurierza Polskiego” opublikował jako pewnik wiadomość, że kapitan Władysław Raginis i porucznik Stanisław Kania dawno już wypili brudzia na tamtym świecie. U żołnierzy jest to podobno reguła.



—MYŚLĘ, ŻE KŁOPOTY Z HEMOGLOBINĄ SĄ PRZETĘCOWE...

PRZEPOWIEDNIE CZEKAJĄC NA MONARCHĘ

Przeciwnicy wróżb i przepowiedni chętnie przytaczają historyjkę o wróżbiarce, który otworzył w Paryżu biuro przepowiadania pici oczekiwane potomka. W przypadku pomyłki, gdy zamiast chłopca była jednak dziewczynka, biuro — niejako w ramach gwarancji — zwracało wniesioną przez klienta opłatę. Jasne, że wróżbiarę wychodził na swoje i musiał zwinąć interes wyłącznie ze względów podatkowych.

Zwolennicy poglądu, że przyszłość nie tylko można, ale trzeba przewidywać, mają swoje kontrargumenty i to z bardzo różnych bezek. Miłośnicy antyku powołują się na trójnog szalonej Pytii lub złowrobną Kasandrę, badacze czasów nowożytnych przypominają nieodcignętego Nostradamusa lub mniej sławnego, ale równie świetnego lekarza i astrologa z czasów Zygmunta Augusta — Joachima Jęzkiego Retyka, który m.in. przepowiedział Sobieskiemu pod Wiedniem. Znawcy folkloru, gdyby im tylko pozwolić, przedstawiałyby tysiące znaków na niebie i ziemi, którymi zwykli przemawiać do ludu nieuchronny los.

Dzisiaj chcemy przedstawić wybrane prorocтва historyczne, takie jak np. przepowiednia Rewolucji Październikowej i odrodzenie państwa polskiego, zawarte w słynnej „Księdze sybillańskiej”, spisanej przez Franciszkanina z Krakowa. Prorocze wizje mieli także wielcy poeci, niedarmo mianowani wieszczami. Aleksander Mora przypomniał w swoich „Tajemnicach ludz-

kiej natury” Juliusza Słowackiego, który pisał:

Pośród niesnasków Pan Bóg uderza
W ogromny dzwon.
Dla słowiańskiego oto Papieża
Otwarty tron.

Wiek XX przynosi prorocтва oparte na metodzie naukowej. Nie są to już tylko przeczuć istot szczególnie wrażliwych, lecz sposób, którego podstawą jest hipoteza mówiąca o powtarzalności historii i przekonanie, że pewne wydarzenia w określonych warunkach muszą być takie, a nie inne. Tym sposobem dr Max Kemmerich przepowiedział w 1914 r.: „... wyjdzie nowy Cromwell lub Napoleon, który wyprowadzi Niemcy na najwyższe szczyty potęgi. Nowy Cromwell wyjdzie z partii lewicowo-radikalnej i pod pretekstem wykonywania woli mas, rzuci się w wir walki. Z nieomylnym instynktem wyczuje on bieg lawiny i w momencie gdy się ona oderwie, stanie na czele owej lawiny, rzucając w tłum hasło „Za mną! Ja was poprowadzę! [...] A każdy zamiatacz ulic ze łzami w oczach będzie szeptał do swego kolegi: „On wyszedł z naszego środowiska i wszystko, co czyni, to czyni dla nas”. Nie trzeba zapewnić, że wynikiem tej wielkiej naszej rewolucji będzie wprowadzenie znik wielkich majątków, lecz bynajmniej nie emancypacja klasy robotniczej. [...] Około roku 1936 nowy Cromwell stworzy dyktaturę wojskową.”

Polsce uczony doktor przepowiedział po 1925 r. — monarchię.

PATRZĄC NA RECE NORMALNIE ROZWIŃIĘTY WZGÓREK

W odczytywaniu losu zapisanego w dłoni niebagatelne znaczenie mają jej poszczególne części.

Największy jest wzgórek Wener (A), ograniczony krzywizną linii życia. Jeśli jest wzniesiony ku środkowi dłoni — mamy do czynienia z idealistą w miłości, silnie rozwinięty w dolnej części sygnalizuje osobnika o zwierzęcych instynktach i namiętnościach ponad miarę. Normalnie rozwinięty wzgórek oznacza chęć użycia, mały — oziębłość i obojętność.

Wzgórek Jowisza (B) znajduje się u nasady palca wskazującego. Wyraża wypukły ostrzeżenie przed pyśkaniem, mały przesądza o pospolitym charakterze, a mikroskopijny przepowiada lenistwo, oziębłość i obojętność.

Wzgórek Saturna (C) leży u nasady palca środkowego. Normalnie rozwinięty — mądrość i roztropność, zbyt rozwinięty — melancholia, skrytość. Przekreślony jedną, ale zdecydowaną linią, oznacza wielkie szczęście.

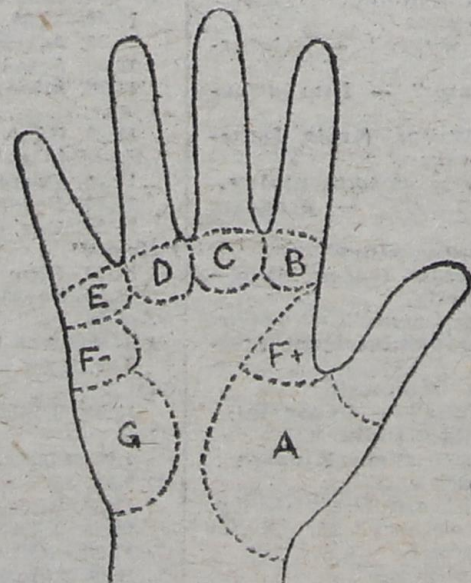
Wzgórek Słońca (D), zwany również wzgórkami Apollina, wznosi się u nasady palca serdecznego. Normalny — inteligencja, talent, zamiłowanie do wspaniałości, zbyt rozwinięty — chciwość, kłamliwe usposobienie, chęć do władzy, trywialność. Płaski lub mały wzgórek Słońca oznacza tepotę umysłu, brak wzgórka — naturę prozaiczną.

Wzgórek Merkurego (E) znajduje się u nasady palca małego. Średniej

wielkości oznacza wiedzę i powodzenie w sprawach handlowych, literackich i prawnych. Wróży także liczne podróże. Bardzo duży — kłamliwość, bezwstyd, skłonność do kradzieży i chytrość. Brak wzgórka Merkurego oznacza dobrotną głupotę. Głębokie bruzdy na wzgórkach — kleptomania.

Wzgórek Marsa dodatni (F+) im jest większy, tym lepiej rozwinięte są instynkty wojownicze. Mars ujemny (F-) świadczy o odwadze.

Wzgórek Księżyca (G), położony naprzeciw wzgórka Wener, normalnie rozwinięty należy do natury marzycielskiej o dużej wyobraźni, zbyt mocny ostrzega przed ponurakiem, któremu na stare lata grozi obłąkanie.



POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY